

Lucy Merwin

WYSPA NASZEJ  
MIŁOŚCI

# 1

Nadine Raleigh siedziała w kucki na podłodze strychu. Dookoła leżały stare pożółkłe fotografie. Po twarzy dziewczyny płynęły łzy, a obrazy rozmywały jej się przed oczami.

Jedno ze zdjęć przedstawiało przystojnego młodego mężczyznę w wojskowym mundurze. Miał zawadiacko przekrzywioną czapkę, a w ramionach trzymał kobietę, patrząc na nią zakochanym wzrokiem. Fotografia była biało-czarna, lecz Nadine wiedziała, że kobieta ma kasztanowe włosy.

Para na zdjęciu to jej rodzice. Oboje już nie żyli. Matka zmarła dawno temu na zapalenie płuc, które wywiązało się z niewinnej grypy. Nadine, wówczas jeszcze dziecko, niezbyt dobrze pamiętała swoją matkę. Jej obraz stał się tak samo niewyraźny jak fotografie oglądane przez łzy. Dziewczyna przypominała sobie tylko miękki melodyjny głos matki, śpiewającej jej francuskie piosenki, i delikatną woń jaśminu, jaka ją zawsze otaczała. Nawet teraz, choć Nadine od dawna już była dorosła, zapach ten zawsze wywoływał u niej smutek i poczucie osamotnienia.

Ojciec umarł w zeszłym tygodniu. To z jego powodu

teraz płakała. Pamiętała dobrze chwilę, w której przysłała owa straszna wiadomość.

Siedziała, korzystając z odrobiny bladego styczniowego słońca, w ogrodzie i szczotkowała sierść swojego psa Buddy. Wokół leżał jeszcze śnieg, a z dachu, otynkowanego na biało drewnianego domu, zwisały sople lodu, roztopiając się powoli w słonecznych promieniach. Krople wody spadały na śnieg i żłobiły w nim małe dołki. Nadine usłyszała, jak dzwoni telefon, ale nie zareagowała. W domu była babcia. Za chwilę stanęła ona w drzwiach i zawołała ją jakimś dziwnym, zduszonym głosem.

— Nadine, chodź, proszę, na chwilę.

Dziewczyna odłożyła szczotkę i puściła psa. Kiedy weszła do kuchni, zobaczyła, że babka siedzi z opuszczoną głową przy stole.

— Dzwonił pułkownik Jones.

— Czego chciał?

Może tato wcześniej, niż się spodziewali, wróci z manewrów na Alasce?

— Dziś rano rozbił się samolot. Ojciec zginął na miejscu.

— Nie — powiedziała szeptem Nadine. — Nie, to musi być pomyłka! To nieprawda!

Jej głos stał się naraz bardzo wysoki i przenikliwy.

— To nie pomyłka. Jones zadzwonił dopiero wtedy, gdy wróciła ekipa ratunkowa. On nie żyje, dziecko, twój ojciec i mój syn.

Babka opuściła głowę na stół i wybuchnęła głośnym płaczem. Nadina stała jak sparaliżowana, wpatrując się we wzorzyste linoleum pod swoimi nogami. Dopie-

ro po chwili oderwała wzrok od podłogi i uklękła przy babci.

— Granny, wszystko będzie dobrze, uwierz mi. Musimy przez to przejść. Mamy przecież siebie.

Stara kobieta wyciągnęła do niej ręce i długo siedziały tak mocno objęte. Potem Nadine poszła zadzwonić do dziadka, który był jeszcze w pracy.

Nie pamiętała dokładnie, jak minęły kolejne dni. Wciąż pocieszała dziadków i przyjmowała wizyty sąsiadów, którzy składali jej kondolencje i przynosili coś do jedzenia. Samolot przywiózł ciało ojca i wszyscy czuwali przy zmarłym, aż nadszedł czas, by jechać na cmentarz.

W dniu pogrzebu padał śnieg. Patrzyła na szare, pokryte ciężkimi chmurami, niebo, gdy trumnę spuszczano do grobu, w którym spoczywała już jej matka. Nadine nie płakała, wiedziała dobrze, że ojciec by tego nie chciał. Obok niej stał Kirk Roberts, przyjaciel z dzieciństwa. Prosił, by pozostawiła mu załatwienie wszystkich formalności i przyjęła jego pomoc. Była mu wdzięczna, ale wolała ten ciężki okres przejść sama.

Od tamtej pory nie widziała się z Kirkiem. Musiała mieć teraz trochę czasu dla siebie. Spostrzegła, że jest mu przykro, ale nic na to nie mogła poradzić. Ponieważ bardzo nalegał, umówiła się z nim w końcu na dzisiejszy wieczór. Nie czuła jednak radości,\* że się znów zobaczą. Teraz, kiedy pierwszy raz od śmierci ojca pozwoliła sobie na łzy, nie myślała o Kirku. Na strych poszła po to, żeby przejrzeć stare dokumenty.

Kiedy się wypłakała, zrobiło jej się lżej. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła oczy. Potem schowała

zdjęcia z powrotem do pudełka. Sięgnęła po gruby segregator. Znalazła w nim kwit ubezpieczenia na życie i kopię testamentu ojca. Obok znajdowała się teczka z napisem „Kervarech”. Co za dziwna nazwa, pomyślała, nie od razu zaglądając do środka. Na samym wierzchu leżał bardzo stary pożółkły pergamin. Nie potrafiła odcyfrować tekstu, ani nawet domyślić się, w jakim jest języku. Odłożyła ostrożnie dokument i zajęła się listami. Większość z nich była napisana po francusku. Nadine mówiła dość płynnie tym językiem, bo jako dziecko nim tylko posługiwała się, rozmawiając z matką. Gorzej szło jej z czytaniem, mimo że francuskiego uczyła się potem w szkole. Teraz w każdym razie nie miała ochoty tracić czasu na tłumaczenie starych papierów. Mogą poczekać.

Nagle znalazła jeden list po angielsku. Napisany został przed piętnastu laty, w tym samym roku, kiedy zmarła matka. Nadine zaczęła czytać:

*Szanowny Panie Raleigh!*

*Chętnie pomogę Panu w staraniach dotyczących przekazania tytułu własności farmy „Kervarech”, położonej na Isle de Bas.*

*Posiadłość była własnością Pańskiej zmarłej Małżonki, Emilii Laurent-Raleigh, która nie pozostawiła testamentu, Pan więc stał się automatycznie spadkobiercą i może, zgodnie z własnym życzeniem, przekazać nieruchomość córce, Nadine Raleigh.*

*Stosując się do Pana wskazówek, dopilnuję również, by dotychczasowi zarządcy farmy, Monsieur i Madame Carnous, nadal pełnili tę funkcję.*

*Proszę odwiedzić mnie w mojej kancelarii podczas  
Pańskiego najbliższego pobytu w Paryżu.*

*Serdecznie pozdrawiam  
George de la Roux  
adwokat.*

Nadine przeczytała list po raz drugi. Jeśli nie uległa halucynacji, oznacza to, że jest właścicielką farmy we Francji! Dlaczego ojciec nigdy jej o tym nie wspomniał?

Złożyła niepotrzebne papiery, a pozostałe wzięła ze sobą, schodząc na dół.

— Granny? — zawołała. — Gdzie jesteś?

— Tu, moje dziecko — odpowiedziała z kuchni babcia.

Nadine zostawiła pudełko z dokumentami w przedpokoju, zabierając tylko teczkę. Babcia siedziała przy stole i obierała jabłka. Okulary zsunęły jej się aż na czubek nosa.

— Granny, widziałaś to już kiedyś?

— Co takiego?

M. Raleigh odłożyła nóż i wytarła ręce w fartuch.

— To list, z którego wynika, że być może należy do mnie jakaś farma w Bretanii. Wiesz coś o tym?

— Ach, to. Wiem — odparła.

— Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

— To była dla twojego ojca bardzo bolesna sprawa. Rodzice mamy bardzo sprzeciwiali się jej małżeństwu, znasz chyba tę historię?

— Nie. A dlaczego?

— Twoi dziadkowie byli ludźmi o bardzo tradycyjnych poglądach. Mieszkali na małej francuskiej wyspie i nie wyobrażali sobie, by Emilia poślubiła mężczyznę z innych stron, nie mówiąc już o cudzoziemcu. Za to została wydziedziczona.

— Wydziedziczona? Dlatego, że wyszła za tatę? Przecież coś takiego się nie zdarza!

— Niestety, jednak tak. Rodzice twojej matki zmarli parę miesięcy po niej i zostawili kawałek ziemi. Nie mieli innych spadkobierców. Nigdy nie wybaczyli córce jej samowoli. Bardzo przez to cierpiała. Była jedynaczką, tak samo jak ty.

— Czy po ślubie ani razu nie pojechała już do Francji?

— Nie. Bała się, że rodzice zamkną przed nią drzwi. Nie odpowiadali na listy, co ogromnie ją bolało. Ale miała przecież ciebie i twojego ojca. My traktowaliśmy Emilię jak własną córkę i robiliśmy wszystko, żeby dobrze się tu czuła. Zwłaszcza że tato tak rzadko bywał w domu.

— Czy farma naprawdę należy teraz do mnie?

— Tak, kochanie. Jesteś ostatnią z rodziny. Ojciec przez cały czas płacił podatek od tej nieruchomości i zatrudnił ludzi, którzy mieli się o nią troszczyć. Chciał, żebyś dowiedziała się wszystkiego w swoje dwudzieste drugie urodziny. Uważał, że wtedy będziesz dostatecznie dorosła, by sama zdecydować, co zrobić z posiadłością.

Otarła oczy.

— Ale teraz już go nie ma

Nadine jeszcze raz przejrzała wszystkie dokumenty

i zaczęła szukać mapy, żeby zobaczyć, gdzie leży owo tajemnicze Kervarech. Nic takiego jednak nie znalazła.

— To zabawne — powiedziała w zamyśleniu. — Od lat mam dom we Francji i wcale o tym nie wiedziałam. Nigdy też tam nie byłam, a jestem przecież ostatnia z tej francuskiej rodziny.

— Pewnie bardzo cię ciekawi, jak wygląda Kervarech?

— Tak. Nigdy nie myślałam wiele o tamtych dziadkach. Moją rodziną byliście zawsze tylko wy. I tutaj jest mój dom.

Rozejrzała się po jasnej, przytulnie urządzonej kuchni, która stanowiła niemalże część jej życia. Cała rodzina tu właśnie najchętniej się zbierała. Ile godzin spędziły z babcią przy tym stole, kiedy pomagała jej gotować, piec placki i ciasto. Tu czytały listy od ojca, wysyłane z różnych egzotycznych miejsc, gdzie przebywał jako wojskowy pilot. Tutaj też świętowali jego szczęśliwe powroty. Tak bardzo za nim tęskniła! Nie mogła wyobrazić sobie, że już go przy niej nie będzie. Spojrzała na babcię, wiedząc, że ona czuje to samo. Mrs. Raleigh z hałasem wytarła nos.

— Czy nie umówiłaś się na dziś z Kirkiem? — spytała nieoczekiwanie. — Jeśli nie chcesz, żeby czekał, powinnaś już zacząć się szykować.

— Chyba tak — zgodziła się bez zachwytu. — Chociaż właściwie wcale mi się nie chce.

— To się zmieni, kochanie. W ostatnim tygodniu wydarzyło się tak wiele, że nie miałaś czasu pomyśleć o Kirku.



Nadine skinęła w milczeniu głową. Wiedziała, jak bardzo dziadkowie go lubią.

Poszła do łazienki i wzięła kąpiel, żeby się nieco zrelaksować. Leżąc w wannie, zastanawiała się nad swoim stosunkiem do Kirka. Znali się już długo i dla niego było oczywiste, że kiedyś się pobiorą. Wszyscy zresztą się tego spodziewali, ona sama też o tym myślała.

Kirk stanowił ważną część jej życia, której nie dałoby się tak po prostu odrzucić. Ale będąc z nim, coraz częściej się ostatnio nudziła. Jego niezmiennie, niczym nie zachwiane przywiązanie zaczynało jej działać na nerwy. Wstydziała się tego, bo w gruncie rzeczy bardzo Kirka lubiła. Był najsympatyczniejszym, najbardziej taktownym człowiekiem, jakiego знаła, i szczerze ją kochał. Ale jakiś wewnętrzny głos szeptał jej, że miłość to coś więcej niż tylko poczucie bezpieczeństwa i pewności.

Wyszła z wanny i owinęła się w puszysty ręcznik kąpielowy. Zastanawiała się, co włożyć. W czasach wiktoriańskich nie łamałaby sobie nad tym głowy, pomyślała, obowiązujące konwenanse kazałyby mi ubrać się od stóp do głów na czarno. Musiała przyznać, że coś w tym było. Smutek, jaki czuła po śmierci ojca, sprawił, że i tak ciuchy zupełnie przestały ją interesować. Zdecydowała się włożyć skromną sukienkę w kolorze czerwonego wina. Szczotkowała swoje długie czarne włosy, aż zaczęły błyszczeć.

Zrobiło się już ciemno. Na ulicy, tuż pod oknem, jaśniała latarnia. Słysząc było brzęk łańcuchów przeciwślizgowych na oponach przejeżdżających samocho-

dów.' Nadine nie miała ochoty się malować, chociaż stwierdziła, że wygląda bardzo blado. Kiedy tak patrzyła na swoje odbicie w lustrze, zastanawiała się, jak zachowywali się jej rodzice, gdy umawiali się na spotkanie. Pograżona w myślach, zeszła na dół.

Kirk siedział już w saloniku, a dziadkowie do-  
trzymywali mu towarzystwa. Rozmawiali o pogodzie. Obie rodziny znały się dobrze od dawna, można powiedzieć, że nawet się przyjaźniły. Wszyscy życzyli sobie tego małżeństwa.

Przez uchylone drzwi dobiegał gwar głosów.

— Już od rana zanoszą się na śnieg — mówił Kirk. —  
Wieczorem z pewnością będzie padać.

Nadine weszła do pokoju. Mężczyzna poderwał się natychmiast.

— Wspaniale wyglądasz — powiedział na przywitanie. — Nieprawdaż, pani Raleigh?

— Ona jest zawsze ładna" — odparła babcia, nie podnosząc oczu znad szydełkowej robótki.

— Gotowa? W takim razie możemy iść.

— Tak. Dobranoc, dziadku.

Pocałowała starszego pana z czułością w oba policzki, a on odpowiedział jej uśmiechem.

— Pa, babciu. Nie siedź za długo, bo jutro będą cię bolały oczy.

— Nie martw się o mnie, dziecko. Bawcie się dobrze.

Kirk wziął przyjaciółkę za rękę i wyszli z domu. Powietrze na zewnątrz było gryząco zimne. Nadine odetchnęła głęboko. Rzeczywiście, pomyślała, czuje się, że niebawem spadnie śnieg. Kirk otworzył drzwi

samochodu i pomógł jej wsiąść. Jego troskliwość zirytowała Nadine, ale zaraz ją to zawstydziło. Usiadła wygodnie na miękkich poduszkach i otuliła się szczelniej płaszczem. Mężczyzna położył jej rękę na ramieniu.

— Dawno cię nie widziałem, Nadine — poskarżył się i chciał ją przyciągnąć do siebie.

— Nie miałam ochoty nigdzie wychodzić.

— Wiem. Jest ci ciężko. Ale spróbuj mimo wszystko myśleć dziś wieczorem o czym innym. Potrzebujesz tego.

Wcale jej nie przekonał, lecz nie chciała go urazić.

— Tak, Kirk — mruknęła.

— Mam nadzieję, że trochę już zgłodniałaś. U naszego Włocha będą dziś pierożki ravioli. Zawsze je bardzo lubiałaś.

Z uśmiechem skinęła głową. Przekręciła gałkę radia, nie chcąc dłużej z Kirkiern rozmawiać. Lecz pulsujący rytm rocka sprawił, że zaczęła boleć ją głowa. Wyłączyła muzykę.

W restauracji zaprowadzono ich do małego, stojącego nieco na uboczu stolika, na którym paliła się świeca. Za lichtarz posłużyła butelka po winie. Kraciasty obrus i kilka kwiatów w wazonie stwarzało miłą kameralną atmosferę. Ten lokal jest naprawdę sympatyczny, pomyślała. Poczowała się trochę lepiej.

Kirk opowiadał o swoich sukcesach w hokeju. W szkole, a potem w college'u był w tej dyscyplinie prawdziwą gwiazdą. Teraz grał w miejscowej drużynie. Nadine uśmiechała się cierpliwie we wszystkich momentach, w których Kirk tego od niej oczekiwał,

a kiedy jego sportowe sprawozdanie dobiegło końca, powiedziała o znalezionych na strychu dokumentach.

— Do diabła, Nadine — odparł ze zdumieniem, wycierając chlebem resztkę sosu — w takim razie jesteś teraz bogatą dziedziczką. Szkoda, że farma znajduje się akurat we Francji, a nie gdzieś tu, w okolicy, nie uważasz? Nawiasem mówiąc, słyszałem, że stary O'Casey chce sprzedać swój folwark.

— To ta posesja ze stawem? Tam, gdzie co roku zatrzymują się gęsi, kiedy lecą z Kanady na południe?

— Dokładnie. Że też pamiętałeś o tych gęsiach... Ale zawsze byłaś zupełnie zwariowana na punkcie zwierząt. Dlaczego właściwie nie poszłaś na zoologię?

— Chciałam, ale dziadkowie nalegali, żebym uczyła się czegoś bardziej pożytecznego. Na przykład prowadzenia domu! Na szczęście udało nam się zawrzeć kompromis i dzięki temu zostałam przynajmniej nauczycielką.

— Kiedy zaczniesz szukać posady? Byłaś już w kuratorium?

— Nie, miałam co innego na głowie — odparła szorstko.

— Przepraszam, kochanie.

Nadine zdała sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa.

— Ale wracając do folwarku O'Caseya — co powiedziałabyś, gdybym złożył mu ofertę?

— Dlaczego? Masz zamiar zająć się rolnictwem?

— Nie, ale uważam, że to miejsce jest idealne na założenie rodziny. Co o tym sądzisz?

Zaniepokoiła się. Była zła na samą siebie, że pozwoliła, by rozmowa zesłała na temat, którego chciała uniknąć.

— Nie wiem — powiedziała wymijająco.

— Możemy tam któregoś dnia pojechać i obejrzeć dom.

Potem, gdy siedzieli obok siebie w aucie, Kirk objął Nadine i przytulił ją do siebie. Zjechał z drogi szybkiego ruchu na parking, z którego już wiele razy podziwiali gwiazdy.

Była piękna noc, chociaż księżyc skrył się za nisko wiszącymi chmurami. Zaczynał padać śnieg. Grube białe płatki opadały miękko na szybę samochodu. W środku panowało miłe ciepło. Kirk dotknął podbródka dziewczyny, tak, by musiała się odwrócić. Popatrzyła na tego mężczyznę, którego znała od dziecka i który był jej najlepszym przyjacielem. Nie chciała sprawić mu bólu, ale nie miała wyboru.

— Nadine, kocham cię — szepnęła.

— Kirk... — zaczęła, ale jego pocałunki zamknęły jej usta.

Całował ją bardzo delikatnie. Poczowała się naraz okropnie. Lubiła Kirka, lecz nie w taki sposób, jak on by sobie życzył.

— Nadine, pobierzmy się. Dość już czekaliśmy.

— Nie mogę — odparła, cała nieszczęśliwa. — Po prostu nie mogę podjąć takiej decyzji.

— O jakie decyzje ci chodzi? — spytał urażony. — Od dawna przecież jest jasne, że się pobierzemy.

— Nie wiem, Kirk. Nie mogę też dziadków zo-

stawić całkiem samych. Dopiero co stracili swego jedynego syna.

— Ależ, Nadine, wiesz przecież doskonale, że chcę, abys za mnie wyszła. Byliby szczęśliwi.

— Nie! — krzyknęła, dziwiąc się, że jej głos brzmi tak twardo — Przykro mi, Kirk, ale wcale nie myślę jeszcze o małżeństwie.

— A więc dobrze, skoro tak...

Odsunął się od niej i włączył silnik. Samochód z głośnym wyciem wjechał z powrotem na ulicę.

Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani słowem. Kiedy Kirk zatrzymał się przed jej domem, Nadine chciała natychmiast wysiąść.

— Proszę, poczekaj chwilę. Przykro mi, nie chciałem być natarczywy. Wiem, że teraz nie jesteś sobą.

— Nie, Kirk — powiedziała, podejmując rozpaczliwą próbę potraktowania go tak uczciwie, jak na to zasługiwał. — Sądzę, że w tej chwili jestem sobą bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Od śmierci ojca wiele spraw sobie przemyślałam. Żyję w tym miasteczku od urodzenia, a ty jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek bliżej znałam. To nawet trochę śmieszne — tato zwiedził cały świat, a ja nigdy nie wyjechałam poza nasze strony. A teraz miałabym wyjść za mąż i spędzić tu resztę mojego życia? Nie tego chyba chcę.

Patrzył na nią bez uśmiechu, a jego zielone oczy wydawały się w nikłym blasku ulicznych lamp prawie szare.

— Tak jak powiedziałem, nie jesteś teraz sobą.

Porozmawiamy o tym jeszcze, jutro do ciebie zadzwonię.

Pocałował ją czule i wysiadł, żeby otworzyć drzwi i odprowadzić Nadine do progu domu.

— Dobranoc, kochanie, do jutra.

— Dobranoc, Kirk.

Poszła prosto na górę, do swojego pokoju. Kilka minut później leżała już w łóżku, z książką poświęconą ginącym gatunkom zwierząt. Ale zupełnie nie mogła się skupić, toteż ucieszyło ją pukanie do drzwi.

— Wcześniej wróciłaś — powiedziała babcia, siadając na brzegu tapczana. — Miło było?

— Nie bardzo — przyznała się. — Kirk traktuje wszystko tak okropnie poważnie.

— A ty jego poważnie nie traktujesz?

— Naprawdę nie wiem — westchnęła. — Od kiedy tato zginął, wciąż zastanawiam się, czy w moim życiu nie powinno być coś więcej niż tylko to małe miasteczko i Kirk. Tutaj nigdy nie zdarzy się nic nowego, nic, co mogłoby mnie zafascynować...

Babcia uśmiechnęła się.

— Rozumiem cię, moje dziecko. Ale dziadek i ja sądziliśmy zawsze, że kochasz Kirka.

— Bardzo go lubię. Ale nie wiem, czy to wystarczy, żeby za niego wyjść. A kiedy ty byłaś młoda, myślałaś o dziadku w taki sam sposób?

— Nie, dziecko, nigdy. Od pierwszej minuty wiedziałam, że on jest najbardziej odpowiednim dla mnie mężczyzną. Podobnie było z ojcem — ledwie poznał twoją matkę, nie miał wątpliwości, że są dla siebie przeznaczeni. To jest właśnie miłość.

Po chwili poprawiła się:

— W każdym razie dla niektórych ludzi.

— Co mam teraz zrobić, babciu? Nie chciałabym go zranić.

— Dziadek i ja długo rozmawialiśmy o tobie dziś wieczorem i doszliśmy do wniosku, że jeśli chcesz, mogłabyś pojechać do Francji, na Isle de Bas.

— Granny, to byłoby cudownie! Chętnie zobaczę kraj, w którym mieszkała kiedyś mama. Nie chciałabym jednak zostawiać was samych.

— My oboje jesteśmy tu bardzo szczęśliwi. Ale tobie dobrze zrobi, jeśli wyjedziesz stąd na trochę. Może dzięki temu dowiesz się, czego naprawdę chcesz. Musisz zobaczyć Kervarech, ukochane miejsce twojej mamy. Często nam o nim opowiadała.

— Jeśli przez pewien czas będę daleko od Kirka, być może okaże się, że go jednak bardzo kocham.

— Na pewno, moje dziecko. Znasz przecież powiedzenie: miłość rośnie wraz z odległością.

Nadine objęła mocno babcię. Od czasu, gdy umarł ojciec, po raz pierwszy miała coś, na co mogła się cieszyć. Pani Raleigh życzyła wnuczce dobrej nocy i wyszła z pokoju. Nadine długo jednak nie mogła zasnąć, myślała już o czekającej ją podróży.

## 2

Nadine nigdy nie przypuszczała, że na dziesięciu tysiącach metrów wysokości słońce świeci tak jasno.



Jego promienie odbijały się w oknach samolotu, jak gdyby było już lato, a nie dopiero koniec lutego. Chmury nad Atlantykiem wyglądały jak ogromne kłęby waty.

Wszyscy znajomi Nadine uważali za niezmiernie dziwne, że ona — córka pilota — nigdy nie przekroczyła progów samolotu. Teraz tym bardziej cieszyła się swoim pierwszym lotem. Było to jak sen: leciała wysoko ponad chmurami, daleko od Ameryki, miasteczka w Nowej Anglii i małego domku, w którym się wychowała. Czuła się lekka i wolna.

Tu, w górze, miała wrażenie, że jest tak blisko ojca, jak jeszcze nigdy przedtem. Powietrze było jego żywiołem i Nadine dopiero teraz zrozumiała, dlaczego wybrał ten właśnie zawód. Ale to wszystko należało już, niestety, do przeszłości.

Teraz znajdowała się w drodze do Paryża, gdzie chciała zatrzymać się na parę dni u przyjaciółki. Miała zamiar odwiedzić również kancelarię mecenasa de la Roux, z którym już wcześniej się skontaktowała.

Całe szczęście, że Stacy jest akurat w Paryżu, pomyślała. Kiedyś, jeszcze w college'u, mieszkały w tym samym pokoju. Stacy była jedyną córką zamożnego nowojorskiego finansisty i już po dwóch latach opuściła college. Uważała, że niczego więcej się tam nie nauczy. Przez rok pracowała jako recepcjonistka w firmie ojca, a potem wyjechała do Europy. Gdy usłyszała, że Nadine wybiera się do Francji, prosiła, aby koniecznie zatrzymała się u niej.

Kirk nie był zachwycony planami swojej przyja-

ciółki i starał się jej wyperswadować tę podróż. Zaproponował, żeby sprzedać odziedziczoną farmę, a pieniądze włożyć w folwark O'Caseya. Nadine na próżno usiłowała mu wytłumaczyć, że zanim podejmie jakąkolwiek decyzję, musi wprawdzie obejrzeć posiadłość.

— Skoro tak zdecydowałaś, muszę się chyba z tym pogodzić — ustąpił w końcu. — Kiedy wracasz?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Urażony, odparł, iż nie wie, czy jeszcze tu w ogóle będzie, gdy ona wróci. Zrobiło jej się przykro, ale miała nadzieję, że w czasie tej rozłąki Kirk pozna jakąś miłą dziewczynę.

Najtrudniejsze było pożegnanie z dziadkami. Kiedy na lotnisku jeszcze raz się za nimi obejrzała, łzy napływały jej do oczu. Z ciężkim sercem przyszło jej również rozstać się z Buddym.

— Niedługo wrócę — szepnęła psu do ucha. — Obiecuję ci.

W głośniku rozległ się głos kapitana samolotu, oznajmiający, że za pół godziny wylądują na lotnisku Charlesa de Gaulle'a. Poczowała wielkie podniecenie. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że zaraz znajdzie się w Paryżu. Miała cichą nadzieję, że Stacy przyjedzie po nią, ale nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. W Paryżu była dopiero szósta rano, a jej koleżanka nigdy nie lubiła wstawać wcześniej.

Samolot wylądował i zaczął kołować po pasie. Po chwili pasażerowie stali już w przejściu. Nadine przyłączyła się do nich. Prosto ze schodków wsiadli do

autobusu, który zawiózł ich do hali przylotów. Wchodziło się tam przez tunel z pleksiglasu. Wszystko wyglądało bardzo nowocześnie i Nadine pomyślała, że swoje dotychczasowe wyobrażenie o Europie musi poddać gruntownej rewizji. Lotnisko w Paryżu było w każdym razie znacznie lepiej wyposażone niż amerykańskie, z którego odlatywała.

Przy kontroli paszportów po raz pierwszy mogła sprawdzić swoją znajomość francuskiego.

— *Bonjour, monsieur* — powiedziała do urzędnika.  
— *Je suis tres heureuse d'etre a Paris*. Cieszę się, że jestem w Paryżu.

Z uśmiechem oddał jej paszport.

— *Mademoiselle, biewenue a Paris*.

Po kontroli celnej rozejrzała się, czy nie widać gdzieś Stacy. Ale oczywiście jej nie było. Wzięła więc swoje dwie walizki i poszła w kierunku tablicy z napisem „sortie” — wyjście.

Paryż o tej wczesnej porze wydawał się szary i zimny. Ucieszyła się zatem, widząc przed budynkiem rząd oczekujących taksówek. Wyjęła z torebki ostatni list od Stacy i podała kierowcy adres. Kiedy usiadła wygodnie na tylnym siedzeniu, stwierdziła, że wcale nie jest zmęczona, mimo że podczas całego lotu nie zmrużyła oka.

Taksówkarz mówił niemal bez przerwy. Z radością zauważyła, że prawie wszystko rozumie. Opowiadał jej, że ruch uliczny w tym mieście jest po prostu nie do wytrzymania. Nadine patrzyła przez okno na niekończący się sznur samochodów. Pomału robiło się jasno. Szybkość, z jaką jechali, przyprawiała ją o zawrót

głowy. Miała nadzieję, że taksówkarz wie, co robi. Pozostali kierowcy zachowywali się podobnie, przypuszczalnie więc taki obowiązywał tu styl jazdy. Przyzwyczaję się, pomyślała.

Dotarli na przedmieścia Paryża. Zdziwiła się, że na ulicach jest już pełno ludzi. Wielu z nich niosło pod pachą charakterystyczne francuskie bagietki. Uśmiechnęła się, bo przyszła jej na myśl babcia. Byłaby zgorzonna, że pieczywo nie jest opakowane. Ale Nadine uważała ten widok za bardzo zabawny.

Taksówkarz powiedział, że zaraz zaczną się korki i okazało się, że miał rację. Samochód skręcił przy Porte Maillot w kierunku centrum. Jechali teraz przez Avenue de la Grande Armee. Była nawet zadowolona, że musieli zwolnić, dzięki temu miała okazję przyjrzeć się pięknym starym domom. Kiedy dotarli do Place d'Etoile, wstrzymała oddech, widząc słynny Łuk Triumfalny. Brama, symbolizująca militarne sukcesy Napoleona, pod którą znajdował się Grób Nieznanego Żołnierza, robiła imponujące wrażenie.

Nadine ciekawie rozglądała się na wszystkie strony, aby niczego nie przeoczyć. Taksówkarz zaklął głośno, kiedy ledwie o milimetry udało mu się wyminąć inny samochód. Wjechali na Champs Elysees, luksusową ulicę jak z bajki, pełną kawiarenek i eleganckich sklepów. Od tyłu nowych wrażeń dziewczynie zaczynało kręcić się w głowie. Kierowcę wyraźnie bawiła jej gorliwość.

— Czy pierwszy raz jest pani w Paryżu, mademoiselle? — zapytał.

— Owszem — przyznała. — Ale mam nadzieję, że nie ostatni.

— Każdy tak mówi — odparł ze sceptycyzmem, typowym dla prawdziwego paryżanina.

Minęli Place de la Concorde ze słynnym obeliskiem otoczonym fontannami. Tego zimnego ranka były nieczynne. Postanowiła, że przyjdzie tu któregoś wieczoru, by zobaczyć mieniącą się podświetloną kaskadę.

W końcu dotarli do Rue de Rivoli, gdzie w jednym z pensjonatów mieszkała Stący. Była to długa ulica, z rzędem luksusowych sklepów po obu stronach. Otoczenie to nie zdziwiło Nadine, dobrze znała swoją przyjaciółkę.

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem o ogromnych drewnianych drzwiach. Nadine wysiadła i popatrzyła na nie z powątpiewaniem. W jaki sposób ma się dostać do środka?

Kierowca wyjął z bagażnika jej walizki i uśmiechnął się szeroko, kiedy z trudem odliczyła należność i wręczyła mu hojny napiwek. Poradził, żeby zadzwoniła i poczekała na konsjerżkę. Zrobiła to i prawie w tym samym momencie drzwi się otworzyły. Stała w nich starsza, ciemno ubrana kobieta.

— Mademoiselle? Pani sobie życzy?

Nadine wyjaśniła, że oczekuje ją miss Stacy Crowell.

— *Ah, oui.* Mademoiselle Crowell mówiła mi, że pani przyjedzie.

Wskazała jej szerokie drewniane schody, z rzeźbionymi postaciami nimf i pasterzy.

— Mademoiselle Crowell mieszka na trzecim piętrze, apartament piętnaście.

Nadine podziękowała i podniosła swoje ciężkie walizy. Przydałaby się winda, ale niczego takiego tu, niestety, nie było. Z wysiłkiem wdrapała się na trzecie piętro, gdzie od razu odnalazła właściwe drzwi. Sapiąc głośno, postawiła bagaż na podłodze i nacisnęła dzwonek. Nikt nie odpowiadał, po kilku minutach zadzwoniła więc ponownie.

— *Ouf!* — odezwał się zaspany głos. — Kto tam?

— To ja, Stacy. Nadine.

Drzwi otworzyły się. Stacy wpuściła przyjaciółkę i rzuciła się jej na szyję.

— Tak się cieszę, że cię widzę, Nadine. Wchodź dalej.

Miała na sobie cienką, prawie przezroczystą koszulę nocną. Jej włosy były potargane, najwyraźniej została wyrwana ze snu.

— Nie chciałam cię zbudzić — usprawiedliwiała się Nadine.

— Nic nie szkodzi — roześmiała się. — Właściwie chciałam przyjechać po ciebie na lotnisko, ale nie słyszałam budzika, a potem zrobiło się już późno.

Stały wciąż w przedpokoju, patrząc na siebie.

— Fantastycznie wyglądasz, Nadine. Ale bardzo schudłaś.

— Może kilka kilogramów. Teraz czuję się już dobrze.

— Przykro mi z powodu tego, co stało się z twoim ojcem — powiedziała nagle Stacy.

Nadine próbowała się uśmiechnąć.

— Po tak długiej podróży musisz być śmiertelnie zmęczona. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Nadine podążyła za przyjaciółką w głąb maleńkiego mieszkania, jak zwykle patrząc z zazdrością na jej wspaniałe jasne włosy. Stacy miała długie szczupłe nogi i wyglądała zawsze zachwycająco. Widać było po niej, że pochodzi z zamożnej rodziny.

— Nie jest specjalnie elegancki — powiedziała, otwierając drzwi do małego pokoju, w którym stało biurko i wąski tapczan — ale nikt ci tu nie będzie przeszkadzał.

— Dziękuję, Stacy. Cieszę się, że mogę zatrzymać się u ciebie na parę dni.

— Na jak długo zechcesz. Mnie również cieszy twój przyjazd. Zobaczysz, jak świetnie się zabawimy, już prawie nie mogę się doczekać, żeby pokazać ci Paryż. Ale najpierw dobrze się wyśpij, pogadamy później. Ja też wracam do łóżka.

Ziewnęła szeroko.

— No, to na razie — powiedziała i wyszła z pokoju. Nadine zdjęła sukienkę i położyła się na tapczanie.

Gdy zbudziła się po czterech godzinach, nie była wprawdzie wyspana, ale jeden rzut oka na zalaną słońcem ulicę wystarczył, by znów poczuła się świeża i wypoczęta. Chciała jak najprędzej ruszyć na zwiedzanie miasta. Szybko ubrała się i poszła do saloniku. Stacy siedziała z jakimś młodym mężczyzną. Piła kawę, a jej gość trzymał w ręku kieliszek z winem. Rozmawiali z ożywieniem. Przyjaciółka była jeszcze

w nocnej koszuli, ale narzuciła na nią szlafrok. Mężczyzna, nieco starszy od Stacy, wyglądał niezwykle elegancko. Miał na sobie szare spodnie i białą, rozpiętą pod szyją, koszulę.

Spojrzał na Nadine, gdy weszła i stanęła trochę niepewnie na progu.

— A kogóż my tu mamy? — odezwał się po angielsku.

Zabrzmiało to tak, jakby ktoś pokazał mu nową zabawkę.

— Cześć, Nadine! — Stacy przywołała ją gestem, posuwając się na kanapie, by zrobić koleżance miejsce.

— To jest James Blackwell, mój stary przyjaciel. James, to Nadine Raleigh, opowiadałam ci przecież o niej.

— Dzień dobry — powiedziała nieśmiało Nadine.

— Cześć — odparł, mierząc ją od stóp do głów badawczym spojrzeniem.

Poczuła się jeszcze bardziej niepewnie. Stacy musiała rzeczywiście dobrze go znać, skoro nie przejmowała się wcale swoim niedbałym strojem.

— Siadaj — poprosiła przyjaciółka. — Napijesz się kawy? Właśnie zaparzyłam.

Nadine wzięła filiżankę. Mocna słodka kawa usunęła resztki zmęczenia.

— Akurat opowiadałam Jamesowi o naszych przygodach w college'u. A raczej o moich przygodach — ty byłaś grzeczna i dużo pilniejsza ode mnie. I zawsze pomagałaś mi wybrnąć z kłopotów.



— O, miałaś ich sporo — przypomniała sobie ze śmiechem Nadine.

— Do dziś jej to zostało — wtrącił James. — Niedawno w dyskotekce musiałem ją ratować z opresji.

— Przesadzasz, nie było tak źle. Po prostu ciut za dużo wypiłam.

James zwrócił się do Nadine:

— A więc przyjechała pani tutaj, żeby upomnieć się o swoje feudalne prawa do wyspy w Bretanii?

— Niezupełnie — odparła. — Chodzi jedynie o niewielką posiadłość, należącą do rodziny mojej matki. Nigdy tam jeszcze nie byłam.

— Jakie podniecające! Ma pani zamiar tam zamieszkać?

— Nic jeszcze nie wiem. Najpierw muszę zobaczyć to miejsce.

— James studiuje w Paryżu historię sztuki — wmieszała się do rozmowy Stacy. — Pochodzi z Chicago.

— Naprawdę? — zdziwiła się Nadine. — Nie sądziłam, że jest pan Amerykaninem. To znaczy... — zająknęła się ze zmieszania — wydawało mi się, że mówi pan z obcym akcentem.

— Dziękuję, mademoiselle. Większą część swego dzieciństwa spędziłem w Anglii i Szwajcarii, tak że często zapominam, skąd pochodzę. Wie pani, jak to jest.

Nie wiedziała. Zmieniła więc temat, pytając jakim rodzajem sztuki się zajmuje.

— Każdą możliwą — odparł niejasno.

— Specjalizuje się w sztuce poznawania ludzi — roześmiała się Stacy. — Zwłaszcza nocą, w ciemnych barach, gdzie panuje intymna atmosfera. Nie mam racji, James?

— Moja droga, nie rozumiem, dlaczego zawsze musisz być tak cyniczna. Miss Raleigh teraz uważa mnie pewnie za próżniaka. A ja przecież bardzo poważnie podchodzę do moich studiów nad sztuką średniowiecza.

Stacy zaczęła stroić miny.

— Nie traktuj go zbyt serio, Nadine. Żyje z procentów od spadku, jaki zostawiła mu babka, i raz w miesiącu chodzi do Luwru. W ten sposób chce przekonać ludzi, że nie trwoni rodzinnego majątku.

— Stacy, Stacy — jęknął mężczyzna. — Jesteś istotą pozbawioną uczuć.

Nadine czuła się dość głupio, słuchając owej rozmowy. Poza tym zaczynała się robić głodna. Stacy odgadła jej myśli.

— Widzę w twoich oczach głód. Niestety, jeśli nie liczyć odrobiny cebuli, nie mam w domu kompletnie nic do jedzenia. Ale zaraz się ubiorę i pójdziemy coś przekąsić. Pewnie już umierasz z głodu?

— Zgadza się — przyznała.

— Ja nigdy nie jem, kiedy piję — oznajmił James. — Skoro więc upieracie się, żeby iść na obiad, będę musiał się pożegnać. Ale może wieczorem pokażemy Nadine trochę Paryża, co, Stacy?

— Świetny pomysł. Spotkajmy się o dziewiątej u Antoine'a, zgoda?

— Doskonale, już się cieszę. A więc do wieczora.

Narzucił na ramiona ciemnoniebieski blezer, dopił swoje wino i wyszedł.

Stacy i Nadine zaszły do restauracji niedaleko domu i zamówiły „asiette anglaise”. Okazało się, że jest to talerz zakąsek, składający się z pieczeni, szynki i sałatek. Smakowało wybornie, Nadine rozkoszowała się każdym kęsem. Potem siedziały jeszcze przez chwilę, rozmawiając.

— O czwartej mam wizytę u lekarza — stwierdziła Stacy. — Dasz sobie radę sama?

— Jasne. Pójdę do Luvru, to przecież blisko. Ale co z tobą? Jesteś chora?

— Nie, nie, to tylko rutynowe badania — uspokoiła ją. — Powiem ci, którądy masz iść. Później spotkamy się w pensjonacie, okay.

Stacy pokazała jej drogę i zniknęła w najbliższym wejściu do metra. Resztę popołudnia Nadine spędziła w Luwrze. Kiedy wróciła do mieszkania, czuła się porządnie zmęczona.

Stacy już na nią czekała. Badania wypadły dobrze i cieszyła się, że będzie mogła pokazać przyjaciółce Paryż nocą.

— Jak się mam ubrać? — spytała Nadine.

— Jak chcesz. Mogę ci też pożyczyć coś z moich rzeczy.

— Nie trzeba. Zabrałam prawie całą swoją garderobę, bo nie wiem, jak długo zostanę we Francji.

Zdecydowała się na niebieską jedwabną spódnicę i pasującą do niej bluzkę. Stacy wyszła ze swego pokoju ubrana w bardzo obcisłą dżersejową sukienkę, wyciętą głęboko na plecach, a z takim dekoltem

z przodu, że babcia Nadine, widząc to, czerwieniłaby się ze wstydu. Na nogach miała sandały na niebotycznie wysokich obcasach, a włosy związane nisko na karku. Wyglądała tak pięknie, że Nadine poczuła się jak naiwna panienka ze wsi.

Z Jamesem spotkały się w night-clubie, gdzie disc-jockey puszczał wyłącznie muzykę rockową. Lokal był zadymiony i pełen ludzi. Wszyscy trzymali w ręku szklaneczki z winem lub innymi napojami, których Nadine nie знаła. Dla siebie zamówiła lampkę białego wina, postanawiając, że będzie ją saczyć przez cały wieczór. Nie przepadała za alkoholem.

Część gości tańczyła, zanurzona w kolorowym migającym świetle. Nadine poczuła, że znużenie powraca. Ale kiedy James, nie namyślając się długo, pociągnął ją za sobą na parkiet, znów się ożywiła. Stacy, którą już wcześniej ktoś poprosił do tańca, teraz machała im wesoło ręką. Po skończonej piosence wrócili do stolika. Sięgnęła po swój kieliszek, a mężczyzna skinął na kelnera. Ciągłe podchodzili do nich znajomi Jamesa, by zamienić z nim parę słów. Z niektórymi rozmawiał po angielsku, z innymi po francusku. Przedstawiał jej wszystkich, ale po chwili zapominała ich twarze i nazwiska. Atmosfera była podniecająca. James, za każdym razem, gdy wracali z parkietu, zamawiał sobie kolejnego drinka. Wkrótce wyglądał już na nieco podchmielonego. Stacy natomiast zniknęła i nigdzie nie można było jej znaleźć.

Z głośników popłynęła romantyczna, wolna melodia i James znów poprosił Nadine do tańca. Objął ją w tali, szepcząc coś, czego nie zrozumiała. Ale być

może nucił sobie tylko do taktu. Kiedy jednak zaczęła całować i gryźć delikatnie koniuszek jej ucha, odsunęła się gwałtownie.

— Chcę wrócić do domu.

— Do mieszkania Stacy? — spytał trochę niewyraźnie.

— Tak.

— Dobrze, w takim razie weźmiemy taksówkę.

— Ale gdzie ta "Stacy się podziewa? — zastanawiała się z niepokojem.

— Nie mam pojęcia. Jest już dużą dziewczynką i może sama na siebie uważać.

Na szczęście przed wyjściem przyjaciółka dała jej klucze. Pewnie przypuszczała, że nie wrócą razem.

— Nie musi pan ze mną jechać, James. Sama wezmę taksówkę.

— Nie ma mowy.

Z trudem podniósł się i usiłował podać jej płaszcz. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest pijany. Chciałabym być już w łóżku, pomyślała.

Zimne nocne powietrze trochę mężczyznę otrzeźwiło. Jazda na Rue de Rivoli nie trwała długo. James zapłacił, a Nadine otworzyła już drzwi wejściowe.

— Dziękuję za miły wieczór — powiedziała uprzejmie w nadziei, że zrozumie i odejdzie.

— Odprowadzę panią na górę. Muszę przecież sprawdzić, czy nie czyha tam jakiś bandyta.

Westchnęła zrezygnowana i zaczęła wspinać się po schodach. Przed drzwiami mieszkania odwróciła się, by jeszcze raz się pożegnać. Ale James chwycił ją nagle

i zaczął całować. Jednocześnie szarpał guziki jej bluzki. Nadine z wściekłością odepchnęła go.

— Niech pan przestanie i natychmiast się wynosi!  
— zawołała.

— Okay, już dobrze.

Popatrzył na nią z urazą. Najwidoczniej nie był przyzwyczajony do podobnego traktowania.

— Dobranoc — powiedziała krótko i weszła do środka.

Było jej nieprzyjemnie, że musiała zachować się w taki sposób wobec przyjaciela Stacy, ale nie miała już siły odierać jego wybuchów namiętności w bardziej uprzejmy sposób. Swoje pierwsze zetknięcie się z nocnym życiem Paryża uznała za niezbyt zachęcające i czując się okropnie zmęczona, poszła do łóżka.

Następnego ranka obudziła się wcześniej. Jej zegar wewnętrzny nie przestawił się jeszcze na nowy czas. Ubrawszy się zajrzała do saloniku. Z ulgą spostrzegła na kanapie płaszcz Stacy. A więc przyjaciółka szczęśliwie wróciła do domu.

Nadine zaparzyła kawę i wzięła książkę telefoniczną, by odszukać numer mecenasa de la Roux. Układała sobie w myśli, co mu chce powiedzieć. Telefon odebrała sekretarka, a w kilka minut później monsieur de la Roux poprosił, żeby Nadine jeszcze tego ranka przyszła do kancelarii. Zostawiła więc dla Stacy wiadomość, przyczepiając karteczkę do szafki kuchennej. Chciała wrócić dopiero po obiedzie. Włożyła wygodne buty i przez dwie godziny spacerowała po mieście. Wciąż zaglądała do planu, aby sprawdzić, gdzie jest.

Znalazła w nim również dzielnicę, w której znajdowało się biuro adwokata.

W głowie szumiało jej od wielu nowych wrażeń, jakich doznała podczas tej krótkiej przechadzki. Podo- bało jej się, że owoce i warzywa są tak starannie poukładane na straganach. Miała nadzieję, że na Isle de Bas też jest podobne targowisko.

Punktualnie o jedenastej weszła do kancelarii, a monsieur de la Roux od razu poprosił gościa do siebie. Był to starszy już pan, bezbłędnie mówiący po angielsku. Odpowiedział na pytania Nadine, dotyczące ewentualnych podatków, a przede wszystkim państwa Carnous, zarządców farmy. Nie pobierali, jak sądziła, pensji, lecz mieli udział w zysku, jakie przynosiło gospodarstwo. Dochód z niego wystarczał na opłacenie wszystkich podatków. Od czasu śmierci dziadków Nadine Carnousowie mieszkali na terenie posiadłości. Madame Carnous opiekowała się domem, który już od piętnastu lat stał pusty. Monsieur de la Roux poinformował ją o przyjeździe Nadine, by mogła poczynić niezbędne przygotowania.

Wszystko to brzmiało tak zachęcająco, że dziewczyna nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w rodzinnych stronach matki. Adwokat poradził, żeby wyjechała z dworca St. Lazare i wysiadła w Roscoff, małej miejscowości na wybrzeżu. Stamtąd promem dostanie się na wyspę.

— Kiedy zamierza pani pojechać do Kervarech, mademoiselle? — zapytał. — Chciałbym powiadomić państwa Carnous, którego dnia mają pani oczekiwać.

— Jutro — zdecydowała spontanicznie. — Wyjadę jutro rano.

Opuszczała kancelarię w świetnym humorze. Paryż to wspaniałe miasto i chętnie tu wróci, ale styl życia Stacy zupełnie jej nie odpowiadał. Spodziewała się, że przyjaciółka zrozumie, dlaczego nie chce zostać dłużej.

Kiedy wróciła do pensjonatu, Stacy zdążyła już wstać i ubrać się. Siedziała, umoszczona wygodnie na kanapie, z kompresem na czole. Przed nią, na stoliku, stała wielka szklanka soku pomidorowego.

— Dzień dobrj — przywitała się z Nadine. — Wcześniej wczoraj wyszłaś. Czy chociaż trochę się zabawiłaś?

— Najbardziej bawiło mnie patrzenie, z jakich rozrywek tu się korzysta — odparła oschłym tonem. — Byłam zmęczona po podróży i nie miałam ochoty zostać dłużej. Chciałam ci powiedzieć, że idę, ale gdzieś zniknęłaś. Mam nadzieję, że mnie potem nie szukałaś?

— Nie. Pomyślałam sobie, że dasz sobie radę beze mnie. A co się stało z Jamesem?

Nadine roześmiała się.

— Nie był w szczególnie dobrej kondycji. Miejmy nadzieję, że wrócił cało do domu.

— Jamesowi nigdy nie przytrafia się nic złego. Nie potrzebujesz się o niego troszczyć. Chyba nie masz takiego zamiaru?

— Ależ nie! Pochodzimy z dwóch całkiem różnych światów.

— Jesteś taka rozsądna. Zawsze mi się to w tobie podobało. Gdybym mogła być trochę do ciebie podobna...

Złapała się za głowę, jęcząc cicho.



Nadine miała już powiedzieć o swych planach, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Był to James. Miał nieco głupkowaty wyraz twarzy i wydawało się, że cierpi na potężnego kaca. Przywitał się z wymuszoną wesołością i spytał Stacy o samopoczucie. Potem opadł na fotel.

Kiedy Nadine oznajmiła, że jutro rano opuszcza Paryż, mężczyzna chwycił ją za rękę.

— Nadine, chciałbym przeprosić za moje niewybaczalne zachowanie wczoraj wieczorem. Chętnie to ; odpokutuję. Niech mi pani pozwoli odwieźć się do Roscoff — spojrzał przy tym na nią błagalnie.

— Nie mogę się zgodzić. To dość daleko i lepiej będzie, jeśli pojedę pociągiem.

— Ale ja nalegam. O której chce pani wyruszyć? O dziewiątej? A może to za wcześnie?

— O dziewiątej byłoby w sam raz. Dziękuję, James. Stacy potrząsnęła głową.

— No, to życzę wam udanej wycieczki. Ale nie zapomnij, James, że w środę wieczorem masz mi towarzyszyć na party u ambasadora. Nigdy ci nie wybaczę, jeśli mnie zawiedziesz.

— Nie bój się, do tego czasu zdążę wrócić.

Mężczyzna pożegnał się. Stacy i Nadine spędziły resztę dnia, włócząc się po mieście. Wieczorem zjadły kolację w eleganckiej restauracji. Dość wcześnie wróciły do domu, z czego Nadine była bardzo zadowolona. Cieszyła się już na jutrzejszą podróż.

James Blackwell punktualnie o dziewiątej zadzwonił do drzwi. Stacy zdążyła już wstać, a nawet przyniosła z piekarni świeże croissantsy. Obie dziewczyny siedziały w saloniku, jedząc śniadanie. James miał dziś na sobie bawełnianą koszulę i przewieszoną przez ramię skórzaną, podbitą kożuszką kurtkę.

— Witam panie. — Skłonił się. — Rogaliki wyglądają niezwykle zachęcająco.

— Poczęstuj się — zaprosiła Stacy, podsuwając mu talerzyk.

Po śniadaniu Nadine podziękowała przyjaciółce za gościnę i włożyła płaszcz. James zniósł na dół jej walizki i umieścił w samochodzie.

— Być może wkrótce cię odwiedzę — zapowiedziała Stacy.

— To byłoby wspaniale.

Objęły się na pożegnanie. Potem Nadine zbiegła po schodach. James czekał już na nią.

— No to ruszamy — powiedział wesoło. — Chyba mamy szczęście, godziny największego ruchu już minęły.

Był w świetnym humorze i ciekawie opowiadał o mijanych po drodze zabytkach. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam człowiek, który zaledwie dwa dni temu okazał się tak natrętny. Wyglądało, że nieźle zna się na architekturze. Zwracał uwagę Nadine na budowle, które mogły ją zainteresować, opowiadając przy tym zabawne anegdotki o starym Paryżu.

Zapytał o jej rodzinne strony, a ona opisała mu dom swoich dziadków i miasteczko, gdzie dotychczas mieszkała.

— Zdaje się, że pochodzi pani z typowej amerykańskiej rodziny, takiej, jakie pokazuje się w telewizji.

— Niezupełnie — zaprzeczyła. — Mój ojciec wiele podróżował, więc tak naprawdę wychowywali mnie dziadkowie.

— W takim razie mamy z sobą coś wspólnego. Moi rodzice wysłali mnie do angielskiej szkoły z internatem i widywałem ich zaledwie kilka razy w roku.

— Nie tęsknił pan za nimi?

— Właściwie nie. W internacie odpoczywałem od domu. Rodzice wiecznie się kłócili, a kiedy wracałem do Chicago i tak rzadko ich spotykałem, bo stale gdzieś wyjeżdżali. Ojciec żył tylko po to, by pracować, a matka chciała się ciągle bawić. Nic dziwnego, że nie potrafili ze sobą wytrzymać.

— To musiało być dla pana okropne.

— Nie bardzo. Byłem im potrzebny tylko jako narzędzie zemsty, którym w stosownej chwili mogli się posłużyć.

— Ależ to brzmi przerażająco!

— Można się przyzwyczać.

To straszne, wzrastać bez poczucia bezpieczeństwa, jakie daje rodzina, pomyślała Nadine.

Gdy nadeszła pora obiadu, znaleźli po drodze małą przytulną restaurację. Potrawy smakowały wspaniale. Jedli pasztet z wątróbek przyprawiony czosnkiem, pieczone kurczę w sosie estragonowym, a na deser czekoladowy krem. Nadine czuła się cudownie, a i Ja-

mes był zadowolony. Do obiadu zamówił karafkę wina, ale pił niewiele, co dziewczyna przyjęła z dużą ulgą.

Pojechali dalej i wkrótce dotarli do Bretanii. Minęli Mont Saint Michel. Nadine nie mogła się wprost napatrzeć, widok zapierał jej dech w piersi. Wieże klasztoru Saint Michel — a niegdyś również twierdzy, jak wyjaśnił James — sięgały, wydawało się, nieba.

— Chciałabym to zobaczyć z bliska — westchnęła.

— W takim razie zatrzymajmy się tutaj. Przenocujemy w Merę Poulet, można tam zjeść najlepsze na świecie omlety. Będzie mi miło panią zaprosić.

— Nie, James, dziękuję. Naprawdę chcę jeszcze dziś dotrzeć na Isle de Bas.

Wolała uniknąć komplikacji, jakie wyłoniłyby się podczas wspólnego noclegu.

— Szkoda. Ale może przyjadę kiedyś w odwiedzinę i uda nam się to nadrobić.

Uśmiechnęła się tylko.

Przejechali przez Dinan, Saint Briec i Morlaix. Krajobraz był tu szary i ubogi. Wiosna nie dotarła jeszcze do zachodnich zakątków Francji. Znajdowali się już niedaleko Roscoff, małej miejscowości na wybrzeżu, gdzie Nadine miała przesiąść się na prom. Z każdą minutą czuła się coraz bardziej podniecona. Tutaj z pewnością często bywała jej matka.

James wskazał na kilka średniowiecznych budowli w centrum Roscoff. Wyglądały surowo i ponuro. Nadine spodobał się gotycki kościół z wysoką wieżą i szarą kamienną fasadą.

— Najlepiej będzie, jeśli podjedziemy w stronę moła i poszukamy miejsca, gdzie zatrzymuje się prom. Wie pani, o której odchodzi?

— Jeśli się nie mylę, o czwartej. Mam więc akurat kilka minut. To była precyzyjna robota, James.

— Nie uda mi się pewnie namówić pani na szklanceczkę wina?

— Nie, dziękuję. Nie chciałabym spóźnić się na prom. Miło, że mnie pan tu przywiózł.

— Cała przyjemność po mojej stronie, mademoiselle — odparł z szarmanckim ukłonem.

Nadine roześmiała się.

— O, już jest! — zawołała po chwili bardzo podekscytowana,

James zatrzymał samochód obok drewnianej kładki. Dziewczyna wysiadła, by dowiedzieć się, ile ma jeszcze czasu. Okazało się, że zostało pięć minut, by kupić bilet i wejść na pokład.

James wyjął z samochodu walizki i podał je siedzącemu w motorówce mężczyźnie w baskijskim berecie. Nadine podeszła, by pożegnać się z Jamesem. Przyciągnął ją do siebie, ale natychmiast się odsunęła. Kiedy chciał ją pocałować, odwróciła twarz, tak że zdołał dotknąć tylko jej policzka.

— Nadine, Nadine — westchnął. — Widzę, że musi się pani nauczyć francuskich obyczajów.

Pocałował ją w jeden, potem w drugi policzek, a na koniec w usta.

— To na pożegnanie, żeby pani nie zapomniała.

— Do widzenia, James — odparła, uwalniając się z jego objęć.

— Tak łatwo nie dam się spławić — zawołał za nią i pomachał, gdy prom ruszył.

Odpowiedziała mu tym samym gestem. Wybrzeże oddalało się i niknęło z oczu, kiedy łódź płynęła tak przez zimny szary ocean. Nadine wyteżała wzrok, by jak najszybciej zobaczyć „swoją” wyspę. Po kilku minutach mogła już dojrzeć skalisty brzeg. Wiał silny wiatr. Obiema rękami musiała przytrzymywać opadające jej na twarz włosy. Teraz było już widać pojedyncze domy. Fale z łoskotem obijały się o brzeg. Wyspa wyglądała na zupełnie dziką. Jakby nigdy nie dotarła do niej cywilizacja, pomyślała Nadine.

Przyjrzała się dokładniej pozostałym nielicznym pasażerom. Wydawało się, że to sami miejscowi, a w każdym razie nie turyści. Nikt prócz niej nie miał ze sobą bagażu. Prawdopodobnie wybrali się na ląd w interesach lub po zakupy. Teraz siedzieli na ławkach, nie wykazując większego zainteresowania wspaniałym widokiem. Zapewne wielokrotnie mieli okazję go oglądać. Czy ktoś z tych ludzi znał jej matkę albo dziadków? Chyba tak, wyspa była przecież niewielka.

Prom przybił do brzegu i mężczyzna w baskijskim berecie pomógł Nadine wyładować walizki. Po raz pierwszy postawiła stopę na Isle de Bas.

Już miała rozglądać się za kimś, kto mógłby jej wskazać drogę na farmę, gdy podszedł do niej starszy mężczyzna w ciemnej wełnianej kurtce i czapce na głowie.

— Mademoiselle Raleigh? — zapytał.

— Tak, to ja.

Dotknął palcami czapki.

— Jestem Jean Carnous z Kervarech. Witamy na wyspie.

Wskazał na bryczkę i wziął bagaż Nadine.

— Zawiozę panią.

Pomógł jej wdrapać się na siedzenie. Wyglądał sympatycznie, choć był raczej małomówny.

— Czy to daleko, monsieur?

— Nie, za kilka minut będziemy na miejscu.

Cmoknął na konia i powoli ruszyli. Minęli maleńką kawiarenkę, piekarnię oraz dom ozdobiony herbem. To pewnie siedziba burmistrza, pomyślała Nadine. Jechali teraz trochę szybciej, koń chyba wyczuł już stajnię. Stukot podków sprawił, że dziewczyna poczuła się jakby przeniesiona w dawne czasy.

— Kervarech — oznajmił monsieur Carnous, pokazując na piętrowy, stojący nieco na uboczu dom.

Spodobał się jej na pierwszy rzut oka. Miał spadzisty, łupkowy dach, pobielony front, a z obu stron ciężkich, rzeźbionych drzwi wejściowych znajdowały się duże okna.

— Jest przepiękny — powiedziała z nabożnym zachwytem, odwracając się w stronę mężczyzny. Po raz pierwszy się uśmiechnął.

Jeszcze nie zdążyła wysiąść, gdy drzwi otworzyły się i stanęła w nich niska szczupła kobieta. Wycierała ręce o swój biały fartuch. Miała pomarszczoną twarz, a jej czarne oczy patrzyły serdecznie i przyjaźnie.

— *Bienvenue a Kewarech, mademoiselle* — powitała Nadine, ściskając jej rękę, mimo że we Francji nie było to przyjęte.

— Nauczyłam się paru amerykańskich zwyczajów — wyjaśniła. — Kawałek dalej, przy tej samej ulicy, mieszka pani rodak. Często przychodzi do mnie na filiżankę herbaty. Z pewnością wkrótce się poznacie. Ale teraz bardzo proszę do środka, niech pani obejrzy swój dom.

Zaczęły przemierzać kolejne pokoje. Madame Carnous ani na chwilę nie przestawała mówić. Wszystkie pomieszczenia umeblowano dość skromnie, ale liczne drobiazgi zdradzały, że ludzie, którzy tu mieszkali, kochali swój dom.

— A teraz pójdziemy na górę — oznajmiła pani Carnous, kiedy zakończyły zwiedzanie parteru.

Nadrabia z nawiązką małomówność swojego męża, uśmiechnęła się w duchu Nadine. Weszła za starszą panią na schody, podziwiając ich niezwykłą solidność. Stopnie były już wytarte od wieloletniego używania.

— Ten pokój należał do pani matki — powiedziała madame Carnous, otwierając drzwi. — Pomyślałam sobie, że może zechce pani w nim zamieszkać.

Nadine skinęła głową i rozejrzała się dookoła. W kącie, pod ukośnym dachem zobaczyła łóżko, przykryte białą lnianą narzutą. Przy ścianie naprzeciwko znajdowała się prosta szafa i biurko wraz z krzesłem o wysokim oparciu. Na półce stało parę książek.

Mimo skromnego wyposażenia pokój bardzo się Nadine spodobał. Pchnęła drewniane okiennice i wyjrzała na zewnątrz. Roztaczał się stąd wspaniały widok na morze. Fale z hukiem rozbijały się o skały. Ucieszyła się, że będzie zasypiać przy szumie oceanu.



— To dobry pomysł, madame Carnous. Dziękuję, że wszystko pani przygotowała.

— Cieszymy się bardzo, że wreszcie ktoś zamieszka w tym domu, mademoiselle. Mam nadzieję, że zostanie tu pani na dłużej.

— Może. Czy znała pani moją matkę?

— O, tak. Była dla nas jak córka. Jean i ja nie mogliśmy mieć własnych dzieci, ale Emilia nam to wynagradzała. Pani jest do niej bardzo podobna.

— Umarła, gdy miałam zaledwie kilka lat i mało ją pamiętam. Liczę, że pani opowie mi o mamie.

— Chętnie. Pani dziadkowie nie mogli dojść do siebie po jej śmierci. Żałowali, że wyrzekli się swojej córki. Emilia była taką uroczą, wesołą dziewczyną, wszyscy ją lubili. Rodzice nie przeżyli jej nawet o rok.

— Tak, wiem. Żałuję, że nigdy ich nie poznałam.

Pani Carnous pokiwała głową.

— Byli zacnymi ludźmi i chcieli tylko, by ich jedyne dziecko zostało przy nich. Ale dość już mojego gadania. Pani jest z pewnością zmęczona i chciałyby się rozpakować. Proszę się rozgościć, a ja tymczasem pójdę do kuchni. Dziś będzie odświeżna kolacja: królik z pieczonymi śliwkami.

Nadine była pewna, że źle zrozumiała.

— Królik ze śliwkami? — powtórzyła.

Miała nadzieję, że uda jej się przełknąć coś tak dziwnego, za nic bowiem nie chciałyby zrobić pani Carnous przykrości.

Gdy została sama, przyjrzała się tomom stojącym na regale i stwierdziła, że jej matka czytywała głównie Balzaka, Fontaine'a i Szekspira. Było tam również

kilka książek dla dzieci. Wzięła do ręki jedną z nich, patrząc na-wykaligrafowane dziecięcym pismem litery: „Emilia Maria Annaik Laurent”. W tym momencie matka stała jej się ogromnie bliska.

Nadine podeszła w zamyśleniu do okna i zobaczyła mężczyznę idącego wzdłuż brzegu. W rękę trzymał laskę i wiercił nią w piasku. Co kilka metrów przyklękał, by coś obejrzeć. Z tej odległości nie dawało się stwierdzić, w jakim jest wieku. Miał na sobie zielony skafander, chroniący przed wiatrem, oraz gumowe, sięgające do kolan, kalosze. Obserwowała go, aż zniknął jej z oczu. Plaża znów była całkiem pusta. Ale Nadine i tak nie mogła się na nią napatrzeć.

Po chwili dała sobie w myślach kuksańca i zaczęła rozpakowywać rzeczy. Sukienki powiesiła do szafy, spodnie i swetry umieściła w szufladach i na koniec wyjęła z walizki kilka książek. Zabrała ze sobą głównie literaturę przyrodniczą, wraz z grubym tomem o morskiej florze i faunie, ofiarowanym jej na pożegnanie przez dziadków. Miała też parę powieści i tomików wierszy. Postawiła to wszystko na półce obok książek matki, a potem sięgnęła po oprawiony w skórę pamiętnik, w którym chciała notować swoje przeżycia na Isle de Bas. Przysunęła krzesło bliżej okna, wyjęła z torebki długopis i zaczęła pisać pierwsze zdania:

*O czwartej przypłynęłam promem na wyspę. Czekał na mnie pan Carnous. Jego żona wydaje się dość gadatliwa!*

*Dom jest tak piękny, że przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Wiem, że mogłabym być tu szczęśliwa. Podoba mi się tutejszy krajobraz, ma w sobie jakiś*

szczególony urok. Mimo że tęsknię za dziadkami i Bud-dym, nie będę się tu czuła samotna. Moja matka jest tak blisko mnie.

*Wyspa wygląda, jakby nie dosięgła jej jeszcze cywili-zacja. Nawet plaża jest czysta! Nie potrafię wyobrazić sobie piękniejszego zakątka na świecie, gdzie można by czekać na przyjsie wiosny. Tu przyroda rozwija się swobodnie, nikt nie zakłóca jej praw.*

*Przed kolacją chcę jeszcze pójsć na spacer, by nabrać apetytu na „królika z pieczonymi sliwkami”. Nie wiem, czy uda mi się przełknąć choćby kęs.*

Odłożyła długopis i zamknęła zeszyt. Miała zamiar codziennie robić notatki, zapisując każde nowe wrażenie i odkrycie.

Szybko przebrała się w džinsy i ciepły sweter. Zbiegła po schodach, mówiąc zajętej przygotowaniami do kolacji pani Carnous, że chcę się trochę przejść. Wysłuchiwała jej objaśnień, jak dojść do plaży.

Nabrała głęboko w płuca świeżego morskiego powietrza. Wiatr rozwiewał jej włosy. Było zimno. Szła szybkim krokiem przez wydeptaną ścieżkę. Musiała przeskoczyć niewielki murek, który osłaniał przed wiatrem położony obok kuchni ogródek. Z ziemi wysuwały się już czubki pierwszych szparagów, wscho-dził też rabarbar. Nadine postanowiła, że potem obejrzy ogród dokładniej. Słońce już zaszło i za chwilę zrobi się ciemno. Dotarła do plaży. Morskie fale pędziły w swoim stałym rytmie w kierunku brzegu.

Nadine schyliła się, podnosząc muszlę, która nie rozbiła się pod naporem wzburzonej wody. Schowała

ją do torby — pierwszy egzemplarz przyszłej kolekcji. Kawałek dalej stado mew trzepotało, krzyząc głośno, nad stosem przyniesionych przez fale muszelek. Ze skał zwisały wodorosty, pozostawione tu przez ostatni przypływ. W wilgotnym powietrzu wysychały bardzo powoli. Nadine starała się po nich nie deptać, ale nie zawsze się to jej udawało. Wdrapała się nieco wyżej, w stronę wydm rozciągających się za płaską piaszczystą plażą. Trawa poruszała się tu na wietrze, a jej szelest mieszał się z szumem morza. Odgłosy te sprawiały, że Nadine czuła się jak w swoich rodzinnych stronach.

Wtem usłyszała dziwny krzyk, który przerwał jej rozmyślenia. Dobiegał od strony skał. Pośpieszyła w tym kierunku i znalazła tam, ku swemu oburzeniu, mewę złapaną w prymitywną, zrobioną z gałęzi pułapkę. Ptak był zbyt przerażony, by zjeść przynętę, jaka go tu zwabiła. W jego oczach Nadine zobaczyła błagalną prośbę, by zwrócić mu wolność.

Uklękła przy mewie. Jej skrzydła nie przestawały uderzać o ciasną klatkę.

— Biedactwo — powiedziała ze współczuciem dziewczyna. — Zaraz cię wypuszczę.

Kto może być tak okrutny? Może mieszkańcy wyspy jedzą także mewy, skoro mięso królika wydaje im się takim frykasem? Przez moment zastanawiała się, czy plaża należy do jej posiadłości. Jeśli tak, ma prawo uwolnić ptaka. Otworzyła prymitywne zamknięcie i podniosła górną część klatki. Mewa rozpostarła skrzydła i odleciała w stronę morza. Nadine patrzyła na nią z zadowoleniem, aż nagle przestraszył ją czyjś

rozzłoszczony głos. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę, którego obserwowała niedawno z okna swojego pokoju.

— *Qu'est-ce que vous avez fait?* — pytał gniewnie, a jego oczy były zimne i szare jak ocean tuż za nim. Dlaczego pani to zrobiła?

Kaptur kurtki zsunął się z głowy, odsłaniając ciemnoblond włosy, o których nie dałoby się powiedzieć, że tworzą jakąś fryzurę. Były tak samo potargane jak loki Nadine. Mężczyzna oparł ręce na biodrach. Wyglądał bardzo nieprzyjaźnie. Sądząc z akcentu, musiał być Amerykaninem, tym samym, o którym mówiła pani Carnous. Nadine odpowiedziała więc po angielsku:

— Czy to pan złapał tego biednego ptaka? Wypuściłam go, to oczywiste. Przykro mi, jeśli miał pan inne plany. Chwywanie w sidła niewinnych i bezbronnych zwierząt uważam za niedopuszczalne.

— Naprawdę? — spytał drwiąco. — To współczucie przynosi pani zaszczyt, czego nie można jednak powiedzieć o pani rozumie. Należę do grupy oceanografów z Roscoff i próbuję ustalić, jakie gatunki zwierząt wywodzą się z tej wyspy. Niestety, konieczne jest do tego zakładanie pułapek. Mewy nie chcą przylatywać, kiedy je wołam.

Skrzywił usta jak do uśmiechu. Nadine przełknęła ślinę.

— Nie mogłam o tym wiedzieć — mruknęła.

— Ale mogła się pani zastanowić, czy nie zabiera się czasem za cudzą własność. A może należy to do pani zwyczajów?

— Przykro mi — odparła z rozdrażnieniem. Ten

facet zaczynał jej działać na nerwy. — Pomyślałam, że zechce pan być może przeznaczyć to biedne zwierzę na pieczeń.

Mężczyzna wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem. Nadine mimo woli też się uśmiechnęła.

— Jeść mewy?

Wciąż się śmiejąc, pokręcił głową.

— Równie dobrze można by wpaść na pomysł spożywania szcurków.

Nadine pomyślała o zapowiedzianym na kolację króliku.

— Tutejsi mieszkańcy jedzą najdziwniejsze rzeczy. Skąd miałam wiedzieć, jaki los czeka tę nieszczęsną mewę?

Spoważniał i popatrzył na nią z zadumą.

— Pani musi być właścicielką Kervarech. Madame Carnous mówiła, że ma pani przyjechać. Nazywam się John Reynolds.

Wyciągnął do niej bardzo czystą, o dziwo, rękę. Ujęła ją.

— Jestem Nadine Raleigh. Tak, Kervarech należy do mnie.

— Czy żądałbym za wiele, miss Raleigh, prosząc, by na przyszłość nie przeszkadzała mi pani w badaniach? Wiem, że plaża jest pani własnością, ale ja pracuję tu na zlecenie rządu. O ile wiem, ma to pierwszeństwo przed prawem własności prywatnej.

Jego pogardliwy ton zirytował Nadine. Podniosła się, nie spuszczać z mężczyzny wzroku.

— Niech pan sobie bada do woli. Proszę tylko nie

poczynić tu żadnych szkód. Wygląda pan na takiego, co znajduje przyjemność w wrywaniu muchom skrzydełek.

— Widzę, że ma pani język jak brzytwa. Ale dziękuję za pozwolenie poruszania się po swojej posiadłości.

Mówiąc to John poprawił kaptur i ukląkł na piasku, by na nowo zainstalować pułapkę. Położył przynętę na właściwe miejsce i zamknął klatkę.

— Do widzenia, panie Reynolds — powiedziała chłodno Nadine i odwróciła się, by odejść.

Była już ciemna bezksiężycowa noc. Spotkanie z owym Johnem Reynoldsem dziwnie dziewczynę poruszyło. Idąc w stronę domu, nie mogła przestać o nim myśleć. Zaczęła się złościć na samą siebie. Na szczęście w tym momencie poczuła, że jest okropnie głodna. W porównaniu do tego aroganckiego faceta nawet królik ze śliwkami wydawał się czymś niezmiernie kuszącym.

## 4

Nadine zamknęła za sobą drzwi i zaczęła pocierać dłonie, by trocheje ogrzać. Z kuchni płynęły smakowite zapachy. Madame Carnous powitała serdecznie dziewczynę, gdy ta stanęła nieśmiało na progu.

— Jak się udał spacer?

— Wspaniale. Tak bardzo lubię szum morza, czuję się wtedy jak w domu.

Kobieta skinęła głową.

— Bo jest pani u siebie w domu, mademoiselle, jak kiedyś pani matka.

— Ależ tu cudownie pachnie. — Uśmiechnęła się Nadine.

— Mam nadzieję, że będzie pani smakowało.

— Na pewno. Czy pani i monsieur Carnous do-  
trzymacie mi towarzystwa?

— Ależ nie, mademoiselle. Nakryłam dla pani w ja-  
dalni. Jean i ja jadamy u siebie, tak zostało uzgodnione  
z panem de la Roux. Mam przygotowywać posiłki  
i dbać o dom. Robię to z przyjemnością. Tak się cieszę,  
ze wreszcie ktoś tu znów zamieszka. Czuliśmy się tacy  
samotni.

— Wierzę — powiedziała Nadine.

Najwyraźniej czekało ją teraz życie w luksusie, do  
jakiego zupełnie nie była przyzwyczajona.

— Spotkałam po drodze pana Reynoldsa.

— Poznała już pani Johna?

Madame Carnous wymówiła to imię z francuskim  
akcentem.

— Taki miły z niego człowiek. Znowu liczył mewy?

— Na to wyglądało.

Nadine zaczerwieniła się. Że też musiał jej przyjść do  
głowy pomysł uwolnienia ptaka.

— Czy on często pracuje tu, w okolicy?

— Tak. Mieszka w małej chatce jakieś pięć kilomet-  
rów za plażą. To pomieszczenie dał mu do dyspozycji  
rząd. Ale nie wydaje mi się, by mogło przetrzymać  
następną burzę. Wyobraża pani sobie — drewniana  
chatka w tym klimacie! Wystarczy niewielki wiatr i po-  
frunie do morza.



— Co dokładnie robi mister Reynolds? Wie pani?

— Nie. Liczy ptaki i zbiera butelki pełne piasku lub morskiej wody. Nie mam pojęcia, do czego mogą być one potrzebne. Ale wiadomo, jak to jest z tymi rządowymi zleceniami... John przyjechał z centrum badawczego w Roscoff. Oni co roku przysyłają nam tu nowych naukowców, którzy przeszkadzają potem rybakom w pracy i denerwują wszystkich swoimi pytaniami — gospodyni skrzywiła się z dezaprobatą.

Nadine przytaknęła skwapliwie:

— Zachowywał się tak, jakby mewy były jego własnością.

— Możliwe. AJe on jest jednak najbardziej sympatyczny ze wszystkich naukowców, jacy tu bywali. Zajmuje się biologią morza, jeśli dobrze zrozumiałam. Załatwia własne sprawy i nikomu się nie naprzykrza. Ludzie to doceniają, my, Bretończycy, jesteście zamknięci w sobie i wolimy, by pozostawiono nas w spokoju. Jean zarzuca mi zawsze, że za dużo mówię. Odziedziczyłam to pewnie po mojej portugalskiej babce.

Nadine przysunęła sobie krzesło i obserwowała panią Carnous, gdy ta za pomocą starej trzepaczki ubijała pianę z białek.

— Może w czymś pomogę? — zaproponowała.

— Nie, nie, mademoiselle. Zaraz skończę. Nie zechce się pani odrobinę odświeżyć? Kolacja będzie gotowa za kwadrans.

Dziewczyna wstała.

— W takim razie pójdę jeszcze szybko na górę, żeby się umyć.

Weszła do pokoju i zdjęła z siebie wilgotne od morskiego powietrza ubranie. Włożyła prostą wełnianą sukienkę i uczesała się. Znów przypomniał jej się John Reynolds, jego potargane jasne włosy i zimne szare oczy, w których odbijał się ocean. Szkoda, że potraktował ją tak z góry, niemal wrogo. Pani Carnous powiedziała, że jest biologiem. Nadine chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej o jego pracy. Ta dziedzina bardzo ją przecież interesowała. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego gospodyni była owym człowiekiem tak bardzo oczarowana. Jej samej wydał się on zdecydowanie niesympatyczny.

Królik, ku zdziwieniu Nadine, smakował wspaniale. Pieczonym śliwkom też nie mogła niczego zarzucić i zjadła z apetytem wszystko, aż do ostatniego kęsa. Pani Carnous podała kolację i poszła do domu. Nadine odniosła brudne naczynia do kuchni i od razu je umyła. Po wytarciu zostawiła talerze na kredensie, nie wiedząc, gdzie jest ich miejsce.

Po długiej podróży i wielu nowych wrażeniach, które musiała jeszcze przemyśleć, czuła zmęczenie, dlatego też zaraz po kolacji poszła do łóżka. Chciała wstać wcześniej następnego ranka i pospacerować przy wschodzie słońca. Tej pierwszej nocy w Kervarech nie spała jednak dobrze. Słyszała każdy trzask i skrzypienie starego domu, a także wycie wiatru, który hulał dokoła...

Obudziły ją pierwsze promienie słońca. Natychmiast poderwała się z łóżka, ciekawa, co przyniesie ten dzień. Wskoczyła prędko w stare dżinsy i najcieplejszy sweter. Na dole stół był już nakryty do śniadania.

W koszyczku leżały kromki świeżego chleba, obok stał dzbanek z gorącą kawą. Naczynia od kolacji zostały sprzątnięte. Nadine zrezygnowała więc na razie z zamiaru pójścia na plażę i usiadła, by zjeść najpierw śniadanie. Kiedy skończyła, wyszła z domu i skierowała się w stronę morza.

Szła blisko wydm, by nie zamoczyć nóg. Słońce rozproszyło poranną mgłę, a świeży wietrzyk pachniał już wiosną. Dziewczyna przystanęła koło wydm i spojrzała w dół. Na polu chłop orał zimną wilgotną ziemię pługiem zaprzężonym w dwa woły. Ruszyła dalej. Wkrótce kieszenie miała pełne muszelek i ciekawych okazów kamieni. Po pewnym czasie zauważyła skromny drewniany domek. To musiała być chatka Johna Reynoldsa. Chyba przygotowywał sobie właśnie śniadanie, bo z małej blaszanej rury na dachu wydobywała się cienka smuga dymu. Domek stał na wydmach, przypływ nie mógł go więc osiągnąć. Nadine postanowiła przejść obok niezauważona.

Kiedy podeszła bliżej, mogła stwierdzić, że John zadbał o wygląd swojej siedziby. Dróżkę prowadzącą do drzwi wejściowych ogrodził po obu stronach białymi kamieniami. Na niskich stołach umieścił kolekcję muszli i kamyków o ciekawych kształtach. Chętnie przyjrzałaby się im dokładniej, ale nie miała śmiałości. Minęła więc chatę i poszła dalej wzdłuż wybrzeża. Plaża w tym miejscu stawała się kamienista i trudna do przebycia. Nadine musiała uważać, by nie wejść w kałuże, pozostawione przez ostatni przypływ. W końcu zdecydowała się zawrócić. Odkryła ścieżkę biegnącą od strony brzegu. Ta droga wydawała się znacznie krótsza.

Słońce stało już wysoko na niebie. W grubym swetrze Nadine było już za ciepło. Idąc pustą zupełnie dróżką, umilała sobie czas oglądaniem pierwszych wiosennych kwiatów. Fiołki, pierwiosnki i parę chwastów wychylało się z ziemi. Niedługo zaczną kwitnąć.

Kiedy zobaczyła w oddali Kervarech, miała cudowne uczucie, że wraca do domu. Przyspieszyła kroku.

Wieczorem zanotowała w pamiętniku:

*Dziś rano spacerowałam po plaży. Szłam na wschód, zbierając muszle i kamyki. Słońce grzeje już mocno, w swetrze było mi niemal gorąco!*

*Przechodziłam obok chaty Johna Reynoldsa, ale go nie spotkałam. Madame Carnous ma rację, to schronienie nie wygląda zbyt solidnie. Ciekawa jestem, jak przetrwało deszcz, który spadł po południu. Pogoda zmieniła się w jednej chwili: słońce zniknęło i na horyzoncie pojawiły się czarne chmury. Morze było spienione, a fale zatrważająco wysokie. Potem zaczęło łać i musiałam wrócić do domu.*

*Rozpaliłam ogień w kominku i zabrałam się do czytania. Nie mogłam się jednak skupić, bo za oknem szalała burza. Późnym popołudniem przestało padać, a nawet pokazało się słońce. Jeszcze raz poszłam na plażę. Fale wciąż były ogromne.*

*Na kolację pani Carnous przygotowała danie z ryby. Było super. Zapytałam o przepis, ale nie potrafiła mi go podać dokładnie. Powiedziała, że gotuje „na wyczucie”. Mam zamiar podpatrzeć, jak to robi, może się czegoś nauczę.*

*Naprawdę chciałabym wiedzieć, jak John Reynolds przetrwał dzisiejszą burzę.*

Zamknęła pamiętnik i sięgnęła po jedną ze starych książek matki. Ale zdołała przeczytać zaledwie parę stron. Była tak zmęczona, że zasnęła przy lekturze.

Następnego ranka wstała o świcie. Musiała jak najszybciej sprawdzić, jakie ślady zostawiła wczorajsza burza. Może uda się też znaleźć jakieś rzadkie muszle, które fale wyrzuciły na ląd. Poza tym chciała zobaczyć, jak daleko sięgnęła woda.

Okazało się, że aż do wydm. Wszystkie muszle leżące na piasku wyglądały na uszkodzone. Właściwie można się było tego spodziewać, bo tuż przy plaży, pod powierzchnią wody, znajdowała się niebezpieczna rafa. Nadine postanowiła pójść tym razem w drugą stronę, opierając się pokusie odwiedzenia Johna Reynoldsa. Wmawiała sobie, że kieruje nią jedynie czysta ciekawość, czy chatka przetrwała szczęśliwie burzę.

Dziewczyna szła wzdłuż brzegu, badając co chwila wypełnione wodą zagłębienia i wodorosty, które pozostawiła fala. Rozgrzebywała je akurat patykiem, gdy nagle poczuła na sobie cień. Podniosła głowę i zobaczyła Johna, spoglądającego na nią z uśmiechem.

- Wcześniej pani wstała — stwierdził.
- Zawsze wstaję wcześniej, mister Reynolds.
- Szuka pani czegoś konkretnego?
- Nie, tylko muszelek. Chcę zacząć je zbierać.
- Dziś nie będzie miała pani szczęścia, przy takiej fali wszystkie są uszkodzone.
- Właśnie dochodzę do tego samego wniosku. Jak pańska chatka przetrwała burzę?
- Bardzo dobrze, dziękuję. Sam ją zbudowałem,

może nie wygląda zbyt elegancko, ale jest dość stabilna i na moje potrzeby wystarcza w zupełności.

— Wyróżnia się na tej wyspie, gdzie wszystkie domy są z kamienia.

— Nie spodziewałem się, że w ogóle zwróciła pani uwagę na moje skromne nieszkancko.

Zrobiła się czerwona. Było jej głupio, bo John mógł pomyśleć, że bardzo się nim interesuje.

— Przypadkowo przechodziłam wczoraj tamtędy.

— Dlaczego pani nie weszła? — spytał. — Nie mógłbym wprawdzie poczęstować pani takimi frykasami, jakie robi madame Carnous, ale parę butelek dobrego beaujolais z pewnością by się znalazło.

— To nie pasowałyby do pory dnia. Byłam tam jeszcze przed południem — odparła z uśmiechem.

— Ależ ma pani poglądy! — zaśmiał się. — Tu, we Francji, wino pije się od rana do wieczora.

Nadine wstrząsnęła się.

— Co za okropny zwyczaj.

— Proszę nie śpieszyć się z ferowaniem wyroków — upomniał ją. — Tutejsze obyczaje mają coś w sobie. Mnie w każdym razie bardzo się podobają.

— Madame Carnous mówiła, że jest pan biologiem.

— Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczał, że mogę być dla pani wystarczająco ciekawym tematem konwersacji.

— Ach, moja gospodyni bez przerwy o czymś opowiada...

Nadine była wściekła na siebie. Po co wciąż daje mu powód, by sądził, że jest nim zainteresowana?

— Zapewne zdążył pan już to zauważyć — dodała.

John skinął głową.

— To bardzo sympatyczna kobieta. I wspinała kucharka.

— Zgadza się. Ale nie chciałabym odciągać pana od pracy — powiedziała, udając obojętność. — Sądzę, że całe stado mew zakrzyczą się zaraz na śmierć, chcąc zwrócić na siebie pańską uwagę.

Roześmiał się.

— Dziś jestem tu, można rzec, prywatnie. Czekam na ważnego gościa.

— Aha.

Nadine skupiła się z powrotem na oglądaniu wodorostów. John również na nie spojrział.

— Nazwa „Kervarech” wzięła się właśnie stąd. Ale pani jako właścicielka wie chyba o tym.

— Nie, nie wiem.

— *Ker* po bretońsku znaczy „miejsowość”, a „*va-rech*” — „wodorosty”.

— Kervarech — powtórzyła, smakując to słowo. — Podoba mi się.

— Zbieranie wodorostów stanowi główne źródło dochodów mieszkańców Isle de Bas. Wydobywa się je tutaj całymi wozami. Konie są tak nauczone, że wchodzi do wody i wyciąga się od razu wielkie sterty. Potem suszy się je i spala. Resztki służą jako nawóz. Można z tego również robić kosmetyki.

Nadine zdziwiła się, bo uważała dotąd wodorosty za coś całkiem bezużytecznego, rodzaj odpadów. Spojrzała na morze i nagle zobaczyła coś niezwykłego. W oddali, na horyzoncie, utworzyła się ogromna szara ściana wody.

— Co to takiego? — zawołała.

„Ściana” pędziła z ogromną prędkością prosto na nich. John również popatrzył w tę stronę i wykrzyknął z przestachem:

— Ależ fala!

— Idzie tutaj!

Nadine zakreśliła się w kółko i chciała biec w kierunku wydm. Ale zdążyła zrobić zaledwie parę kroków, gdy John złapał ją i przycisnął do skały.

— Niech się pani trzyma z całej siły! — krzyczał, osłaniając ją. Rękami uczeplił się chropowatej powierzchni.

Pędząca fala ryczała groźnie. Dziewczyna była niemal sparaliżowana ze strachu. Niesamowity hałas dawało się słyszeć coraz bliżej. Ostatnia świadoma myśl, którą Nadine zdołała zapamiętać, dotyczyła Johna. Utopi się tutaj razem z owym nieznanym mężczyzną.

Kiedy fala z całą mocą runęła na nich, dookoła panowała śmiertelna cisza. Nadine wbiła paznokcie w skałę. Wirujący strumień wody przygniótł ją tak silnie do kamienistej powierzchni, że nie mogła oddychać. John własnym ciężarem przycisnął ją do ziemi. Wydawało się, że dłużej się nie utrzymają. Wcisnęła nogi w piasek, walcząc rozpaczliwie z potężnym wirrem. Po paru sekundach poczuła drugie uderzenie fali. Obawiała się, że płuca zaraz jej pękną, ale myślała tylko o jednym — musi trzymać się z całej siły. Ręce Nadine powoli ześlizgiwały się z mokrego kamienia. Wir szarpał ją, chcąc wciągnąć w głąb oceanu. I już, już wydawało się, że ją pochłonie gdy nagle wszystko się skończyło. Fala zniknęła.



Dziewczyna ciężko dyszała, a jej bolące płuca znów wypełniły się powietrzem. Nie miała siły, by podnieść choćby głowę. Rękami wciąż obejmowała skałę, która uratowała jej życie. Naraz usłyszała jakiś dźwięk i ze zdziwieniem stwierdziła, że wydobywa się on z jej gardła. Był to jęk, a potem rosnący krzyk. John z trudem wyprostował się i rzucił jej uważne spojrzenie. Kiedy zaczęła histerycznie wrzeszczeć, uderzył ją w twarz.

— Proszę przestać! — odezwał się ostro. — Panikować będzie pani później. Najpierw musimy się stąd jak najszybciej wydostać.

Podniósł ją. Nogi wcale nie chciały jej słuchać, ale wyteżając całą swoją wolę, z pomocą Johna udało jej się dotrzeć do wydm, a potem do drogi. Dopiero tam, opadła na ziemię. Zobaczyła krzaki wyrwane z korzeniami, przyniesiony przez falę szlam i piasek.

— Możemy mówić o prawdziwym szczęściu, że nic się nam nie stało — oznajmił John, kiedy złapał już oddech. — Mało brakowało.

Nadine nie odezwała się ani słowem. Odgarnęła tylko z twarzy mokre włosy. Jej ręce były pełne szram i zadrapań. Wszystkie paznokcie miała połamane, a palce pomazane krwią. Chciała wyjąć chusteczkę, ale w kieszeni znalazła jedynie jakąś brudną moką szmatkę. Widok wydał jej się tak komiczny, że zaczęła się głośno śmiać.

— Czy muszę wymierzyć pani jeszcze jeden policzek? Proszę nie histeryzować, Nadine — powiedział spokojnie John.

Spojrzała na niego i umilkła. Ale nie potrafiła

powstrzymać łez, które popłynęły po jej poranionych policzkach. John otoczył dziewczynę ramieniem, przyciągnął do siebie i trzymał mocno. Jego bliskość podziałała na nią kojąco.

— Dziękuję — wymamrotała, uspokoiwszy się nieco. — Uratował mi pan życie.

— Nie było to proste — powiedział, wypuszczając ją z objęć. — Zrobić coś tak idiotycznego! Przed falą nie można uciekać, to oznacza pewną śmierć. Woda wyniosłaby panią na środek oceanu.

Wyglądało, że jest naprawdę wściekły, tak samo jak przed kilku dniami, kiedy to wypuściła mu mewę.

— Przykro mi, nie wiedziałam — wyjąkała.

John mówił dalej, jakby do siebie.

— To niewiarygodne, taka fala na Atlantyku! Dość widywałem coś podobnego jedynie na Oceanie Spokojnym. Tam nikt się temu nie dziwi, zwłaszcza po burzy. Ale tu? Kolejny dowód, jak nieobliczalne bywa morze.

Nadine siedziała całkiem cicho. Pod mokrym ubraniem czuła lodowaty powiew wiatru. Była zła na Johna. Dlaczego zachowuje się tak odpychająco? Skąd miała wiedzieć, jak należy postępować w podobnych przypadkach? I wcale nie musiał uspokajać jej w taki sposób.

Odgadł chyba jej myśli.

— Przykro mi, że musiałem panią uderzyć. Ale należało się liczyć z tym, że nadejdzie następna fala. Jeżeli wtedy dostałaby pani hysterii, nie udałoby się nam wydostać.

Skinęła jedynie głową. Zęby dzwoniły jej głośno, miała dreszcze.

— Lepiej *odprowadzę panią do Kervarech*, zanim dostanie pani zapalenia płuc. Chodźmy.

Nadine z wysiłkiem podniosła się. Bolało ją całe ciało. Ruszyła chwiejnym krokiem za Johnem. Ociekał wodą tak samo jak ona, lecz ani zimno ani przeżyty szok najwyraźniej mu nie zaszkodziły.

Pani Carnous otworzyła im drzwi.

— Na litość boską, co się stało? — wykrzyknęła przerażona.

— Nie widziała pani fali? — spytał John. — Zaskoczyła nas na plaży. Trzeba przygotować gorącą kąpiel dla Nadine. Zdaje się, że jeszcze jest w szoku.

— Biedne dziecko.

Madame Carnous podtrzymawała ją, prowadząc przez korytarz.

— W kuchni leży trochę ubrań Jeana — zawołała przez ramię. — Niech pan się przebierze i nastawi wodę na herbatę. W żadnym wypadku proszę nie wracać w tym stanie do siebie.

Nadine nie zrozumiała odpowiedzi, idąc na pół przytomna do góry po schodach. Pani Carnous napuściła wody do wanny i pomogła dziewczynie się rozebrać. Ciepło dobrze jej zrobiło. Poczowała, że powoli przychodzi odprężenie. Nie wiedziała, jak długo leżała w wannie, pozwalając, by gorąca woda obmywała jej obolałe ciało. Gospodyni zostawiła ją samą. Pewnie poszła do kuchni, żeby zająć się Johnem, pomyślała Nadine.

Po jakimś czasie pani Carnous wróciła z dużym

ręcznikiem kąpielowym. Owinęła nim dziewczynę i zaprowadziła do łóżka, opatulając kocami i poduszkami, aż Nadine poczuła się jak niedźwiedź zapadający w sen zimowy.

— Proszę to wypić — poleciła starsza pani, podając jej do ust filiżankę gorącej ziołowej herbaty. — A teraz spać. Po obudzeniu poczuje się pani znacznie lepiej.

Kiedy Nadine koło południa otworzyła oczy, oczywiście nie czuła się już tak źle. Tylko jej pokaleczone ręce i nogi były jeszcze sztywne. Madame Carnous przyniosła talerz zupy z kromką chleba i następną filiżankę herbaty. Dziewczyna nie mogła jednak utrzymać łyżki. Gospodyni wyjęła butelkę jodyny i bandaż. Opatrzyła ręce i ostrożnie zaczęła podawać chorej supę.

— Dziękuję — słabo uśmiechnęła-się Nadine.

— To prawdziwe szczęście, że John akurat tam był. Nie pamiętam, by kiedykolwiek zdarzył się u nas taki przypływ, a jestem już dość stara.

-- Czy z panem Reynoldsem wszystko w porządku?

— Z Johnem? Tak, oczywiście. On całe życie spędził nad morzem, opowiadał mi o tym. Dobrze, że był na miejscu i wiedział, co trzeba robić.

Odsunęła zasłony, by wpuścić światło. Nadine przyglądała się jej krzątaniu po pokoju.

— Jutro poczuje się pani lepiej i za tydzień, dwa o wszystkim zapomnimy. Do tej pory zagoi się też pani twarz.

— Moja twarz? — spytała przerażona.

Dotknęła jej palcami, nie zważając na ból, jaki czuła przy najmniejszym poruszeniu.

— Nie ma strachu — uspokajała ją pani Carnous. — To tylko parę zadrapań, proszę zobaczyć w lusterku. Za kilka dni wszystkie znikną.

Nadine spojrzała na swoje odbicie. Policzki miała poranione, a na czole był wielki błękitny siniec. Stwierdziła, że wygląda okropnie. I John widział ją w takim stanie! Co za koszmarna myśl!

— Pan Reynolds już poszedł?

— Tak. Wypił herbatę i wrócił do siebie. W rzeczach Jeana wyglądał bardzo komicznie, były na niego o wiele za małe. A musiał jeszcze odebrać z promu pana Guenail. To jego kolega.

Nadine zawstydziała się, że leży taka bezradna w łóżku, podczas gdy John zachowuje się, jak gdyby nic się nie stało. Postanowiła wstać i zrobić coś pożytecznego. Ale już podniesienie zabandażowanymi rękami kołdry okazało się zbyt wielkim wysiłkiem. Opadła z powrotem na poduszki.

— Widzi pani — podsumowała madame Carnous. — Lepiej proszę zostać dziś w łóżku. Zaraz przyniosę tu radio, żeby miała pani choć trochę rozrywki.

Nadine spędziła popołudnie, słuchając muzyki poważnej i ludowych bretońskich pieśni. Myślała o Johnie Reynoldsie. Stwierdziła, że sposób, w jaki zareagował na niebezpieczeństwo, był naprawdę godny podziwu. Poza tym ten człowiek jest biologiem i wiele wie o morzu i zwierzętach. Właściwie powinna go lubić i świetnie się z nim rozumieć, pomyślała. Dlaczego więc przy każdym spotkaniu odnosili się do siebie tak nieprzyjaźnie? Szkoda.

Postanowiła, że odwiedzi Johna, by jeszcze raz mu podziękować.

Dni mijały powoli. Nadine kurowała się z obrażeń i wstrząsu, jaki przeżyła. Dużo czasu spędzała w ogrodzie, korzystając ze słonecznej pogody. Obserwowała, jak przyroda budzi się do życia.

Madame Carnous każdego ranka ścinała świeże szparagi na kolację. Wszystko, czego sami nie zdołali zjeść, niosła na przystań i sprzedawała handlarzom, którzy wieźli warzywa na targ do Roscoff. Również rabarbar dojrzał już na tyle, by go zrywać. Gospodyni piekła ciasto i robiła kompoty, spędzając długie godziny w kuchni.

— Wkrótce pokażą się pierwsze truskawki — powiedziała.

Ręce Nadine już się prawie zagoiły, tak że mogła trochę pomóc pani Carnous. Kroiła rabarbar na małe kawałki i wiązała w pęczki szparagi. Tm dłużej przebywała w Bretanii, tym bardziej podobało jej się tutejsze życie. Było proste i rządziło się zrozumiałymi prawami, co Nadine odpowiadało.

Codziennie rano oglądała w lustrze swoją twarz, uspokajając się, że zadrapania znikają, nie pozostawiając blizn. Rany na rękach goiły się dłużej. Ale przynajmniej dłonie nie były już zdrętwiałe i nie bolały.

Z początku bała się pójść znowu na plażę. Zatrzymywała się na wydmach, obserwując z lękiem horyzont, czy czasem nie widać tam olbrzymiej groźnej fali. W końcu jednak przezwyciężyła strach. Ta przygoda wiele ją nauczyła, Nadine wiedziała, że nigdy już nie zapomni, iż morze jest niebezpiecznym żywiołem.

Zauważyła wiele ciekawych rzeczy, na które przedtem nie zwróciła uwagi. Z zainteresowaniem przyglądała się małym pęcherzykom powietrza, powstającym na piasku, gdy cofały się fale. Oznaczało to, że pod spodem kryją się muszle i ostrygi. Wiele czasu spędzała, obserwując różne gatunki bardzo licznych tu ptaków. Mogła to robić całymi godzinami.

Wreszcie dojrzał zielony groszek. Zadrapania na twarzy Nadine już się całkiem zagoiły. Nazbierała koszyk groszku, żeby zanieść go Johnowi. Chciała raz jeszcze okazać mu swą wdzięczność i sprawić małą przyjemność, przynosząc świeże warzywa.

Postanowiła pójść ulicą. Wolała ominąć plażę. Przekonywała samą siebie, że wcale się nie boi, chce tylko zobaczyć, czy kwitną już kwiaty. Na plecach czuła ciepłe promienie słońca, szła i machała radośnie košem, wdychając głęboko świeże morskie powietrze.

Pierwiosniki rosnące wzdłuż chodnika były w pełnym rozkwicie, a ich żywe barwy sprawiały, że surowy raczej krajobraz skalistej wyspy wyglądał weselej. Wielki przypływ dotarł tu w jednym tylko miejscu, bo nigdzie nie widać było żadnych śladów.

Po krótkim marszu przed oczami Nadine ukazała się drewniana chatka. Z małego okrągłego komina wydobywał się dym. John jest w domu, pomyślała i serce zabiło jej mocniej. Przyspieszyła kroku i weszła na wydmy. Do chaty nie prowadziła żadna porządna droga i Nadine musiała sama ją sobie wyszukać. Ostrożnie omijała dziury i kamienie, by nie upaść lub gdzieś się nie zaczepić. Nie chciała, by John znów musiał ją ratować.

Wreszcie dotarła do drzwi. Wokół domku, na małych stolikach leżały muszle, kamienie i suche rośliny. Ciekawe, czy owa kolacja ma związek z pracą Johna, czy też to jego hobby? — zastanawiała się.

Nieśmiało zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Po chwili wahania spróbowała ponownie, tym razem głośniej. Drzwi otworzyły się natychmiast i stanął w nich John, ubrany tylko w szorty. Jego muskularna pierś była naga, a ciemnoblond włosy błyszcząły w słońcu. Przez ramię miał przewieszony ręcznik.

— Halo, miss Raleigh! — zawołał z uśmiechem. — Akurat brałem kąpiel. Przyszła pani, żeby wypić ze mną butelkę beaujolais?

Roześmiała się, potrząsając głową.

— Na to jest jeszcze za wczesna pora. Ale proszę mi mówić Nadine. Chciałam podziękować panu za uratowanie życia. Nie zjawiłam się dotąd, żeby nie straszyc pana moją podrapaną twarzą.

— Zdaje się, że wszystko się pięknie zagoiło.

— Tak, dziękuję, już nic mi nie dolega. Jestem bogatsza o cenne doświadczenie. Nigdy więcej nie będę tak nierozsądna.

— Miejmy nadzieję. Ale nie potrzebuje się pani obawiać, że coś podobnego się powtórzy. Takie fale dotychczas się tu nie zdarzały.

Mówiąc to, nie spuszczał z Nadine wzroku. Jego oczy miały taki wyraz, że serce znów zabiło jej mocniej. Poczowała się zakłopotana.

Podawała mu koszyk, mając nadzieję, że John nie zauważył jej zdenerwowania.



— Mój przysmak — ucieszył się. — Bardzo dziękuję, Nadine. Miło, że pani przyszła.

Poczuła, jak krew oblewa jej policzki. John bowiem wciąż nie odrywał od niej oczu. Była tak speszona, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Męczyzna zrobił ręką zapraszający gest.

— Skoro nie chce pani wypić szklaneczki wina, poczęstuję panią obiadem, zgoda? Proszę wejść, zrobimy sobie ucztę.

Otworzył szerzej drzwi, zachęcając Nadine, by weszła do środka. Stwierdziła, że chatka jest mała, lecz urządzona bardzo praktycznie. Jedyne meblemi było tu coś w rodzaju koi oraz krzesło. Ubrania wisały na gwoździach wbitych w ścianę, a książki ustawiono w równych rzędach na podłodze. Do gotowania John używał kochera i pieca, w którym palił zebrany na plaży drewnem.

Dym wydobywał się na zewnątrz przez dziurę w suficie. W piecu właśnie się żarzyło, stało na nim wiadro z wodą. To chyba ta kąpiel, pomyślała Nadine, uśmiechając się.

— Czy mam poczekać na zewnątrz, aż się pan umyje? — spytała nieśmiało.

— Nie, już skończyłem — odparł, wycierając się ręcznikiem.

Szybko spojrzała w drugą stronę. Nie miała pojęcia, dlaczego tak dziwnie reaguje. Musiała przyznać przed sobą, że John bardzo ją pociąga. W tej scenie było coś intymnego. Nadine uświadomiła sobie, że ów jedyny pokój jest dla Johna jednocześnie salonem i sypialnią. Żeby zatuszować swoje zmieszanie, wzięła koszyk

i postawiła go na wyszorowanym do białości stole. Wszystko tutaj było czyste i porządne.

John założył bluzę.

— Może się już pani odwrócić — powiedział. Niebezpieczeństwo minęło.

W jego głosie brzmiała drwina.

Nadine znów poczerwieniała, obracając się powoli w stronę mężczyzny. Wycierał sobie właśnie włosy i uśmiechał się do niej.

— Ma pani ochotę na groszek? — spytał, spoglądając na zielone strączki.

Wziął do ręki jeden z nich, gruby i mały, przepołowił go i włożył do ust jedno ziarenko.

— Pyszny — oznajmił. — Słodszy niż cukierki. Proszę spróbować.

Nadine poszła jego śladem. Ma rację, pomyślała zaskoczona.

— Bardzo smaczny — zgodziła się, biorąc następny strąk.

John podsunął jej jedyne krzesło, a sam usiadł na łóżku. Przez chwilę byli zajęci wyłącznie groszkiem.

— Jak podoba się pani w Kervarech? — spytał po pewnym czasie mężczyzna.

— Ogromnie — odparła. — Czuję się tu bardzo dobrze. Trochę pomagam pani Carnous w ogrodzie, uczę się od niej gotowania i robienia przetworów.

— Chyba prowadziła pani dotąd całkiem inne życie, skoro tego pani nie umiała.

— Właściwie nie. Ale gospodarstwem domowym zajmowała się moja babcia. Czasem tylko mogłam upiec ciasto. Kuchnia była jej królestwem. Poza tym

sposoby prowadzenia domu we Francji i w Ameryce bardzo się od siebie różnią. Tu wszystko jest prostsze, bardziej naturalne.

— Wiem, co ma pani na myśli. Na tej wyspie można zapomnieć o całej tak zwanej cywilizacji. Czasami czuję się, jakbym został przeniesiony o parę stuleci wstecz.

Skinęła głową.

— Ja też. Isle de Bas jest prawdziwym rajem.

Stwierdziła, że dobrze się jej rozmawia z tym mężczyzną.

— To jedno z nielicznych miejsc na ziemi — odpartł — gdzie człowiek nie zakłócił jeszcze praw natury. Kiedy się patrzy na te przepiękne czyste plaże i wspomniały krajobraz, można sobie wyobrazić, jak to wszystko musiało wyglądać kiedyś.

— Prowadzi pan tu badania naukowe?

— Tak, mam na zlecenie rządu zbadać zwyczaje godowe morskich mew. Ale podejrzewam, że moja praca posłuży temu, by zapobiec ich nadmiernemu rozmnażaniu. Na lądzie uważa się je za coraz większą plagę.

— Ale czy rzeczywiście nią nie są? Nawet mówi się o nich: „zjadacze śmieci”.

— Zawsze dziwi mnie, jakie głupoty ludzie potrafią czasem opowiadać.

Skrzywił z dezaprobatą twarz, wrzucając z powrotem do koszyka pusty strączek. Jego oczy błyszczały gniewem.

— Naturalnie, żywią się odpadkami. A jeśli wytepiemy mewy, plaże staną się jeszcze brudniejsze niż są.

— Nie wiedziałam — odparła porywczo. — Dlaczego reaguje pan tak agresywnie? Nie mam nic przeciwko mewom, przeciwnie, bardzo lubię te ptaki. Nie ma pan więc żadnego powodu, by mnie od razu atakować.

Podniosła się, mając zamiar wyjść.

— Proszę siadać! — rozkazał jej John. — Racja — przyznał. — Zbyt łatwo się denerwuję. Nie chciałem pani obrazić. Zdaje się, że powinienem być zostać pustelnikiem.

Zaśmiał się jakoś dziwnie.

— Ale w gruncie rzeczy jestem nim. Dlatego uważam tę pracę za idealną dla siebie. Cały rok na Isle de Bas to dla mnie prawdziwy raj. Żyję samotnie, pracuję samodzielnie, od czasu do czasu muszę tylko zdawać sprawozdanie panu Guenail. Nie mam właściwie żadnych innych kontaktów z ludźmi.

— Chyba że musi pan ratować młode kobiety przed niebezpieczeństwem — powiedziała szyderczo.

— No tak. Może nadawałbym się także na rycerza.

— W każdym razie ma pan do tego pewne predyspozycje. Ale teraz poważnie. Chciałam jeszcze raz serdecznie panu podziękować.

— Nie trzeba, nic takiego nie zrobiłem. Przecież nie mogłem pozwolić, żeby utonęła pani w oceanie. Ale jeśli koniecznie chce mi się pani zrewanżować, miałbym pewien pomysł.

— Tak, słucham?

Pokazał na pusty już kosz. -

— Zaprosiłem panią wprawdzie na obiad, ale ponieważ spałaszowaliśmy cały groszek, muszę niestety to odwołać. Może więc zjemy coś u pani? Dobrze znam

zdolności kulinarne madame Carnous, lepsze trudno sobie wyobrazić.

— Świetna myśl! — zawołała Nadine. — Ona i tak przygotowuje zawsze o wiele za dużo jedzenia. I z pewnością ucieszy się z pańskiej wizyty.

— W takim razie możemy do razu iść. Tylko zgaszę ogień.

Otworzył drzwiczki pieca i pogrzebał w żarze.

— Już prawie zgasł.

— Proszę opowiedzieć mi o zwyczajach godowych mew — poprosiła.

Odwrócił się w jej stronę.

— Naprawdę to panią interesuje?

— Tak — odparła z naciskiem. — Zawsze chciałam studiować zoologię, ale, niestety, moja rodzina nalegała, żebym zajęła się czymś „bardziej pożytecznym”. Zostałam więc nauczycielką, chociaż ten zawód zupełnie mi nie odpowiada.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— A ja uważałam panią za bogatą rozpieszczoną dziewczynę.

A więc: mewy najchętniej gnieźdzą się na odludnych wysepkach i samotnych skałach. Budują swoje gniazda bezpośrednio na ziemi.

— A gdzie można je znaleźć na Isle de Bas?

— Niedaleko stąd, za skałami na końcu plaży.

— Byłam tam już. Ale nie próbowałam wspinać się na górę.

— Mewy wyszukały sobie te właśnie miejsca, wiedząc, że tam będą bezpieczne.

— Kiedy wyklują się młode?

— Już niedługo. Mniej więcej w sierpniu po raz pierwszy opuszczają gniazda, a we wrześniu są już dorosłe i samodzielne.

— Widział pan tę ich kryjówkę za skałami?

— Oczywiście. Obserwowanie ptaków jest częścią mojej pracy.

— Też chętnie bym się im przyjrzała.

— Trudno mi sobie wyobrazić, by potrafiła pani wdrapać się na skały.

— Pan mnie nie zna, John. Umiem to zupełnie nieźle — odparła z dumą.

— Skoro tak pani twierdzi...

Roześmiał się.

— No, dobrze, ogień już zgasł. Możemy iść.

Ruszyli w drogę, rozmawiając z ożywieniem. Nadine wydawało się, że John jest dzisiaj bardziej przystępny niż kiedykolwiek.

Morze w promieniach słońca błyszczało szmaragdową zielenią. Jak pięknie dziś wygląda, pomyślała Nadine. Aż trudno uwierzyć, że bywa tak niebezpieczne. Mimo woli rozejrzała się, czy na horyzoncie nie widać szarej ściany wody. Potem zaczęła przyglądać się mewom i nie zauważyła gałęzi, przyniesionej na brzeg przez fale. Potknęła się i byłaby upadła, gdyby John w ostatniej chwili jej nie złapał. Nie od razu wypuścił ją z objęć. Popatrzyła na niego, uśmiechając się niepewnie.

— Dziękuję — mruknęła. — Ciągłe jest pan moim rycerzem.

Odpowiedział jej czułym spojrzeniem. Zauważyła, że jej tętno znowu się przyspieszyło. W następnej

sekundzie przyciągnął ją mocno do siebie. W ramionach Johna była cudownie bezpieczna i tak szczęśliwa, że aż zamknęła oczy. Nagle poczuła na ustach dotknięcie jego warg.

Całował ją z początku ostrożnie i delikatnie. Lecz widząc, że się nie broni, stawał się coraz bardziej śmiały i namiętny. Zapomniała o wszystkim, nie zauważyła, że silny morski wiatr targa jej włosy. Stała tak, przytulona do tego mężczyzny, odwzajemniając jego pocałunki.

Ręce Johna zaczęły gładzić jej plecy. Przeszedł ją dreszcz i krew uderzyła dziewczynie do głowy. Na plaży byli całkiem sami. Słońce otuliło ich swymi ciepłymi promieniami. Ale Nadine nie wiedziała o niczym, dla niej istniał tylko John, jego usta i czułe dłonie.

Wtem ostry krzyk mewy zakłócił tę błogość. Nadine wzdrygnęła się. Czar prysnął. Obiema rękami odpchnęła od siebie Johna, uwalniając się z jego objęć. W głowie miała kompletny zamęt. Co się z nią dzieje? Nigdyjeszcze żaden mężczyzna tak jej nie pociągał i nie peszył jednocześnie, by już w następnej chwili wywołać w niej złość, że tak łatwo dała się otumanić.

John obserwował ją z uśmiechem.

— Było tak źle? Przez moment miałem wrażenie, że całkiem ci się to podoba.

— Pan kpi sobie ze mnie! — zdenerwowała się. Czowała się okropnie zmieszana.

— Ależ nie, Nadine, pani się myli. To było...

Zawahał się. Po chwili powiedział:

— Nawet szlachetny rycerz ma prawo oczekiwać nagrody.

— Że też nie zauważyłam tej gałęzi — odezwała się, chcąc wytłumaczyć swoje zachowanie. — Myślałam akurat o tamtej strasznej fali...

Spojrzał na nią i nic już nie powiedział. Szli obok siebie w milczeniu, każde z nich zajęte było własnymi myślami. Nadine uświadomiła sobie, że musi napisać do Kirka i zawiadomić go, że z planów wspólnej przyszłości nic już nie będzie. Pocałunek Johna ostatecznie przekonał ją, że nie kocha Kirka.

Gdy dotarli do Kervarech, przystanęli, by wysypać piasek z butów. Potem Nadine otworzyła drzwi.

— Madame Carnous! — zawołała. — Przyprowa-  
dziłam gościa na obiad.

Gospodyni wyszła z kuchni. W rękę trzymała drewnianą łyżkę.

— Dzień dobry, John. Zaraz przygotuję dla pana nakrycie. Ale pani ma jeszcze jednego gościa, mademoiselle — powiedziała do Nadine. — Czeka w saloniku.

— Ktoś do mnie? — zdziwiła się dziewczyna. — Nikogo tu przecież nie znam.

— To duch z pani ciemnej przeszłości — odezwał się nagle znajomy głos.

Nadine odwróciła się. W drzwiach stał James Blackwell. Miał na sobie gruby granatowy sweter, a rękę trzymał w kieszeniach dżinsów.

— James? — spytała zaskoczona. — A czego pan tu chce?



— Czy tak wita się starego przyjaciela? — odparł z wyrzutem.

Podszedł do Nadine, położył jej ręce na ramionach i ucałował w oba policzki. Zaczerwieniła się i odsunęła, spoglądając nerwowo w stronę Johna.

— Poznajcie się, panowie. To jest James Blackwell z Paryża, a to John Reynolds.

Mężczyźni przywitali się, a ona miała wrażenie, że John uściśnął dłoń przybysza nieco mocniej niż to było konieczne. James jednak nie dał po sobie niczego poznać.

— Ale co pana tutaj sprowadza? — zapytała.

— W Paryżu okropnie się nudziłem. Ciagle myślałem o pani i naszym ostatnim spotkaniu i doszedłem do wniosku, że koniecznie muszę panią zobaczyć. Samochód zostawiłem w Roscoff, ale mam zamiar jak najszybciej wyrwać panią z tej samotni. Jak radziła sobie pani dotąd?

— Świetnie, naprawdę. Mnie bardzo się tu podoba.

— Widzę, że macie państwo wiele spraw do omówienia — przerwał jej John. — Lepiej będzie, jeśli się pożegnám.

— Ależ nie, proszę zostać. Zaprosiłam pana przecież na obiad.

Lecz on potrząsnął głową.

— Prawdę mówiąc, wprosiłem się sam. Poza tym powinienem już zabrać się do pracy.

— Miło mi było pana poznać — powiedział obojętnym tonem James.

— Do widzenia, Nadine. Proszę usprawiedliwić mnie przed madame Carnous.

Odwrócił się i wyszedł tylnymi drzwiami. Dziewczyna patrzyła bezradnie w ślad za nim. Starła się nie okazać rozczarowania. Z wahaniem odwróciła się w stronę Jamesa, który nie ukrywał swego rozbawienia.

— A więc na tej opuszczonej przez Boga wyspie dokonała już pani jednego podboju. Kto to był?

— John jest biologiem. To przemiły człowiek. Prowadzi badania nad mewami, ma bardzo ciekawą pracę.

— Nad mewami?

James zaczął się śmiać.

— Najwyraźniej za długo przebywała pani z dala od cywilizacji, Nadine. Skoro już nawet mewy wydają się pani ciekawe, oznacza to, że najwyższy czas, bym panią stąd zabrał.

— Przynajmniej zjedzmy coś, zanim mnie pan wprowadzi — zaproponowała z wisielczym humorem.

Mimo wszystko była głodna, a zapachy, które dobiegały z kuchni, wzmagały jeszcze jej apetyt. James wszedł za nią do niewielkiej jadalni i uprzejmie podsunął jej krzesło. Ale Nadine wcale nie sprawiło to przyjemności. Nie była zachwycona tą wizytą i zastanawiała się, co pomyślał sobie John.

— Proszę mi opowiedzieć, co ciekawego zdarzyło się od naszego ostatniego spotkania — zażądał James.

Postanowiła nie mówić nic o niebezpieczeństwie, jakie przeżyła, i o tym, jak John ją uratował. Zamiast tego opisała obszernie proste życie, które tu wiodła. James, krzywiąc się, oświadczył, że na jej miejscu zanudziłby się na śmierć.

— Niech pani wróci ze mną do Paryża. Stacy zdecydowała, że zostanie tam jeszcze trochę i kazała mi przywieźć panią ze sobą. Paryż to wspaniałe miasto, a pani wcale nie zdążyła go poznać.

— Chętnie wybiorę się tam jeszcze, ale nie teraz — odmówiła.

Madame Carnous ugotowała świeże szparagi i u-smażyła znakomite filety z fladry. James był zachwycony i chwalił Nadine, że znalazła świetną kucharkę.

— Ona nie jest moją kucharką — wyjaśniła. — Madame Carnous wraz z mężem zarządza posiadłością. Poza tym gotuje mi obiady i dba o dom. Trochę jej pomagam.

— Zachwycające. A więc naprawdę zdecydowała się pani na wiejskie życie? — spytał z uśmiechem.

— Sprawia mi to przyjemność — broniła się Nadine.

— I najwyraźniej dobrze pani robi. Pani twarz nabrała rumieńców, a włosy blasku. Wyglądała pani cudownie, Nadine, po prostu cudownie.

Zanim zdążyła się cofnąć, chwycił jej rękę.

— Przez cały czas myślałem o pani — wyznał. — Kiedy zamykałem oczy, widziałem przed sobą pani twarz z dołkiem koło ust.

Przysunął bliżej swoje krzesło i zaczął gładzić jej dłoń.

— Proszę przestać, James!

— Mam przestać panią ubóstwiać? Nie potrafię. Pani mnie zaczarowała, Nadine.

— Niech pan nie przesadza — powiedziała oschłym

tonem, próbując śmiechem odpędzić jego romantyczny nastrój.

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie żartuję, zakochałem się na śmierć. Jestem na pani rozkazy.

Jego głos brzmiał kpiąco, ale oczy były poważne.

•— Ach, James — Nadine zaczerpnęła głęboko powietrza. — Jak długo chce pan u mnie zostać?

— Czy to zaproszenie? Natychmiast przyjmuję. Zostanę tu na zawsze.

— Zawsze jest pan taki gwałtowny?

Nadine uśmiechnęła się.

— Może pan zatrzymać się tutaj na parę dni, jeśli pan chce.

— Z przyjemnością. Z nikim nie spędziłbym chętniej mojego wolnego czasu jak z panią!

— Ale tu nie Paryż. Tu nie ma nocnego życia — ostrzegła go.

— Zamierzam panią stąd wyciągnąć — oznajmił.

— Skoro nie możemy pojechać razem do Paryża, pokażę pani przynajmniej trochę Bretanii. Dziś po południu przejdziemy się po wyspie, a jutro wyruszymy promem do Roscoff i zrobimy sobie wycieczkę po okolicy, dobrze?

— Brzmi to zachęcająco — odparła z wahaniem. Nie wiedziała, jak powinna się zachowywać wobec Jamesa. Był dość uparty.

Po obiedzie poszli do ogrodu. Nadine opowiadała, co tutaj rośnie. James słuchał uprzejmie, ale najwyraźniej nie bardzo go to interesowało. Widział tylko ją.

Zostawili Kervarech za sobą. Dziewczyna pokazała

Jamesowi parę domów charakterystycznych dla Isle de Bas. Nic nie powiedziała, gdy przechodzili obok chatki Johna. Starła się przestać o nim myśleć. Ale musiała przyznać przed sobą, że wolałaby teraz być z nim niż z Jamesem.

Minęli ulicę i wspięli się na wzgórze, z którego roztaczał się wspaniały widok na ocean. Nadine zerwała kilka kwiatów, żeby je potem zasuszyć. Wyłoniła się przed nimi wieża latarni morskiej. Port był pusty, rybacy wypłynęli na połów. W piekarni Nadine i James kupili chleb i zaczęli nim karmić mewy. Potem weszli do jedyne go w tej okolicy baru, żeby odpocząć i czegoś się napić. Nadine zamówiła herbatę, James wolał wino.

Podniósł kieliszek.

— Na zdrowie Nadine, dziewczyny z wyspy!

Pociągnął łyk, spoglądając na nią w zamyśleniu.

— Jak zwykle szarmancki — odparła.

Obserwowała go ukradkiem. Po co właściwie przyjechał? Pewnie nudziło mu się w Paryżu, pomyślała. Jestem dla niego tylko nową rozrywką. Ale wkrótce przestanie mu się tu podobać i będzie chciał wracać.

## 6

Po upewnieniu się, że gość ma wszystko, czego potrzebuje, Nadine poszła wcześniej na górę, tłumacząc się, że jest zmęczona. W swoim pokoju wyciągnęła pamiętnik.

*Przyjechałam do Kervarech, bo potrzebowałam samotności, by zrozumieć samą siebie. Ale dziś znowu*

*wszystko się pomieszało. Dziś pocałował mnie pewien mężczyzna, a to sprawiło, że poczułam w głowie kompletny zamęt. Dowiedziałam się jednak czegoś ważnego. Bez względu na to, kim jest dla mnie John Reynolds, jego pocałunek uświadomił mi, że nie mogę wyjść za Kirka, bo go nie Kocham!*

Przerwała, by przeczytać to, co napisała. Na myśl o pocałunkach Johna, które odwzajemniała z taką namietnością, zrobiła się czerwona. Gryząc długopis, wyjrzała przez okno. Nad morzem wzeszedł właśnie księżyc i fale zanurzyły się w nierzeczywistej srebrnej poświacie. Pochyliła się nad zeszytem i pisała dalej:

*Zaprosiłam Johna na obiad, ale kiedy przyszliśmy do domu, był tam James Blackwell z Paryża. Ciekawe, czego tu chce. Co zamierza osiągnąć prawiąc mi ciągle komplementy?*

Ponieważ nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, odłożyła długopis i zamknęła pamiętnik. Może jutro dowie się czegoś więcej.

Obudziła się wczesnym rankiem. Wzięła prysznic i założyła dzinsy oraz ciepłą bluzę. Chciała zrobić sobie spacer po plaży, zanim James wstanie. Z pewnością lubi dłużej pospać, a ona musi pobyć przez chwilę sama, żeby parę spraw przemyśleć. W cichości ducha miała nadzieję, że spotka Johna i wtłumaczy mu, iż przyjazd Jamesa również dla niej był wielkim zaskoczeniem.. John myśli pewnie, że między nimi coś jest. Chciała przekonać go, że się myli.

Prowizoryczny komin na dachu chatki tym razem nie dymił, ale Nadine miała nadzieję, że John jest jednak w domu. Zebrała całą odwagę, by podejść

i zastukać do drzwi. Być może jej wizyta nie zostanie fałszywie zrozumiana.

Lecz na pukanie nikt nie odpowiedział. Spróbowała jeszcze raz, bez rezultatu. Nacisnęła klamkę i stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte.

— John? — zawołała. — Jest pan tu?

Pokój był pusty. Zobaczyła jedynie posłane porządnie łóżko i umyte po śniadaniu naczynia.

Gdzie on może być o tej porze? Pewnie obserwuje gniazda mew. Spojrzała na zegarek. Za późno, by tam pójść. Nie miała też pewności, czy uda jej się bez niczyjej pomocy wdrapać na skały. Rozczarowana, zamknęła drzwi i udała się w drogę powrotną. Zdażyła już oddalić się o spory kawałek, gdy przyszło jej na myśl, że mogła zostawić Johnowi wiadomość. Czy ma zaprosić go do Kervarech? Przez chwilę stała, zastanawiając się. Bardzo zależało jej, by John wiedział, jaki jest jej stosunek do Jamesa. Siedząc razem przy stole, można by wiele wyjaśnić. Ale jeśli odmówi?

Przygryzła w zamyśleniu wargę. Potem jednak ruszyła naprzód. I tak nie miała przy sobie długopisu ani papieru, a nie chciała szukać tych rzeczy w pokoju Johna.

Kiedy weszła do domu, James był już na nogach. Miał na sobie szare spodnie, niebieski blezer i drogie buty z miękkiej skóry. Jego strój nie pasował do Kervarech.

— Dzień dobry — przywitał wesoło Nadine. — Czyżby w ogóle nie kładła się pani spać?

— Lubię rano spacerować po plaży, można przy tym zobaczyć wiele ciekawych rzeczy.

— Szkoda, że nie zaczekała pani na mnie. Marzę o filiżance kawy. Pija się tu coś takiego?

— Zaraz będzie kawa, i to bardzo dobra. Chodźmy.

Stół był już nakryty do śniadania. Nadine wzięła dzbanek i nalała Jamesowi odrobinę ciemnego aromatycznego płynu. Zdziwił się.

— Kawa w szklanych czarkach? Myślałem, że podaje się w nich tylko herbatę. No tak, tu jest zupełnie inny świat.

— Proszę spróbować — poradziła mu. — Smakuje znakomicie i natychmiast stawia na nogi.

Podniósł czarkę do ust, wypił łyk i skinął z uznaniem głową.

— To zabawne, ale powoli dochodzę do wniosku, że warto dopasować się do miejscowych zwyczajów.

— Tu, na Isle de Bas, i tak nie ma innego wyboru. Wyspa oddalona jest co prawda zaledwie o piętnaście minut drogi od lądu, ale wciąż mam uczucie, że dwudziesty wiek kończy się w Roscoff. Tu można sobie wmówić, że żyje się w piętnastowiecznej Francji.

— Wie pani, że wówczas Bretania wcale jeszcze do Francji nie należała? Do dziś ma odrębną kulturę.

— Czy rzeczywiście studiuje pan historię sztuki? Wydaje mi się, że jest pan raczej ekspertem od dziejów Francji.

— Mam rozległe wykształcenie ogólne — zaśmiał się. — Staram się interesować wszystkim, w przeciwieństwie do pani. Sądzę, że pani powinna zwrócić więcej uwagi na świat, który istnieje poza Kervarech.

— Ależ, James, jak mam pana przekonać, że czuję



się tu naprawdę bardzo dobrze? Mogłabym chyba spędzić na tej wyspie całe życie.

Uniósł wysoko brwi.

— Czy ma to jakiś związek z owym dziwnym milczącym człowiekiem, który wczoraj odprowadził panią do domu?

— Oczywiście, że nie! — zaprotestowała, czerwieniąc się.

Była zła na Jamesa. To typowe dla niego, a właściwie dla wszystkich mężczyzn. Wyobrażają sobie, że szczęście kobiety zależy wyłącznie od nich. Tymczasem ona pokochała po prostu tę wyspę, która dała jej poczucie, że tu jest jej dom. Z Johnem Reynoldsem nie ma to absolutnie nic wspólnego.

— Już dobrze — próbował uspokoić ją James. — Chciałem się tylko upewnić, czy pani serce jest jeszcze wolne.

Ukroił sobie kromkę świeżego chrupiącego chleba i posmarował ją grubo znakomitym domowym masłem.

— Jakie ma pan plany na dziś? — spytała Nadine.

— Udamy się czym prędzej na prom, moja biedna, uwięziona księżniczko. A gdy uda mi się już pozbyć prześladowców, porwę cię do mojego zamku, poślubię i uczynię panią mych włosów.

— Ach, James.

Mimo woli musiała się roześmiać.

— Poważnie. Pojedziemy do Roscoff i weźmiemy mój samochód. Moglibyśmy wybrać się do Mont Saint Michel i przenocować w „Merę Poulet”. A potem spróbuję wyciągnąć panią do Paryża. Zgoda?

— Nie. Miałam na myśli jednodniową wycieczkę, nie dłuższą.

— Aha. I jest pani pewna, że nie da się skusić na spędzenie nocy w Mont Saint Michel?

— Jestem absolutnie pewna.

Nie mogła się zorientować, ile z tego, co mówił James, było żartem, a ile prawdą.

— W takim razie wchodzi w życie plan numer dwa. Pojedziemy do małego miasteczka z piętnastego wieku, które zachowało się w dość dobrym stanie do dziś. Można tam zjeść najlepsze *crepes* w całej Francji.

— A co to takiego?

— Nie wie pani? Będąc tak długo we Francji, nie próbowała pani jeszcze tutejszej specjalności? *Crepes* przypominają cieniutkie omlety, smaży się je na specjalnych żelaznych patelniach, a potem napełnia smaczkowitym farszem. Przysięgam, że będzie pani zachwycona.

— Brzmi to interesująco — zgodziła się.

— A po obiedzie pojedziemy na Pointę du Raz, najbardziej na zachód wysunięty cypel Francji, gdzie Atlantyk łączy się z kanałem La Manche. Zdarzyło się tam wiele morskich katastrof.

— To z kolei brzmi dość niesamowicie.

— Bo jest niesamowite. Stamtąd będzie widać Isle de Sień. Skoro tak kocha pani wyspy, spodoba się pani pewnie i ta, na której niegdyś druidzi składali swoje ofiary. Potem pojedziemy wzdłuż wybrzeża do Carnac, gdzie są tak zwane Stożące Kamienie. Mam nadzieję, że przynajmniej o nich już pani słyszała.

— Carnac? Tak, naturalnie. Tam znajdują się olbrzymie megality. Znam je tylko z fotografii...

Pomału zaczęła ją to wciągać.

— Jeśli już pani zjadła, ruszajmy, bo inaczej nie zdążymy na prom.

— Tylko się szybko przebiorę.

Nadine pobiegła na górę. Włożyła grubą wełnianą sukienkę, a na nią sweter. Dzień zapowiadał się wprawdzie ciepły, ale zdążyła się już dowiedzieć, że pogoda w Bretanii jest bardzo zmienna. Narzuciła jeszcze ciepłą chustę.

Dziwiła się samej sobie, że tak bardzo cieszy się na tę wycieczkę. Czy tylko dlatego, że zobaczy wiele interesujących rzeczy? A może ma to również jakiś związek z Jamesem Blackwellem?

Kiedy przypadkowo spojrzała w okno, wydało jej się, że widzi w oddali Johna. Pewnie rzeczywiście zajęty jest gniazdami mew. Szkoda, że nie zostawiła mu wiadomości.

James przerwał jej te rozmyślenia.

— Proszę się pośpieszyć, Nadine! zawołał z dołu.

— Szybko przejechała jeszcze grzebieniem po swych długich czarnych włosach i była gotowa.

W drodze na przystań James wziął ją pod rękę. Pokazała mu pierwsze wiosenne kwiaty.

— Za tydzień, dwa, kiedy wszystko zakwitnie, będzie tu jeszcze piękniej.

W jej głosie dźwięczała duma.

James spojrział na nią z boku.

— Widzę, że stała się pani wyspiarzem.

— Czy to ma być drwina?

Podniósł obronnym gestem obie ręce.

— Ależ nie — odparł poważnie. — Raczej zazdrość.

Razem z innymi mieszkańcami Isle de Bas weszli na prom. Stanęli z przodu, patrząc w kierunku Roscoff. Nad nimi krążyły mewy, krzyząc głośno, tak jakby nie podobało im się, że statek opuszcza port.

— Okropne ptaki — stwierdził James.

— Może są głodne — broniła ich Nadine.

Wyjęła z kieszeni swetra kawałek czerstwego chleba, odłamała odrobinę i rzuciła wysoko w powietrze. Największa z mew rzuciła się w dół i chwyciła okruch, zanim zdążył zanurzyć się w wodzie. To samo Nadine zrobiła z pozostałym chlebem. Bawiło ją patrzenie, jak ptaki usiłują wydrzeć sobie przysmak. James obserwował dziewczynę w milczeniu. Wcale tego nie zauważyła.

Kwadrans później prom dotarł do Roscoff. Odnaleźli samochód, który stał na parkingu niedaleko molo. James pomógł jej wsiąść i ruszyli przed siebie. Wkrótce miasteczko zostało z tyłu, a oni znaleźli się na drodze wiodącej przez wioskę St. Pol de Leon.

— Nazwa pochodzi od świętego, który zabił smoka nawiedzającego stale Isle de Bas — wyjaśnił James. — Kiedy do Bretanii dotarli pierwsi duchowni, zastali tu najroznorodniejsze religijne zwyczaje. Byli na tyle mądrzy, że niektóre z nich przejęli.

— Czy to znaczy, że część kościelnej liturgii pochodzi od pogańskich wierzeń? Ale skąd na Isle de Bas wziął się smok?

— W tej historii rzeczywistość miesza się z fantazją. Uważam, że to bardzo romantyczne — zaśmiał się. —

Niedaleko stąd, na wyspie Avalon, jest rzekomo pochowany legendarny król Artur. Przesady i stare baśnie, a także niepowtarzalny krajobraz sprawiają, że Bretania jest krainą o szczególnym uroku.

Minęli St. Pol de Leon i wjechali do miasteczka Molaix. Nadine żał było, że morze zostało daleko za nimi. Przy drodze do Pleyben krajobraz stał się bardziej surowy, a po chwili znaleźli się w prawdziwych górach. Równina zmieniła się nagle w granitowe skały. Miały w sobie coś groźnego, stwierdziła Nadine.

— Zatrzymać się? — spytał James. — Jeśli pani chce, możemy się trochę powspinać.

— Nie, dziękuję. Dlaczego właściwie nie ma tutaj żadnych drzew? Wygląda to jak kamienna pustynia, dość niesamowicie.

— Nic dziwnego. Przed kilkuset laty królowie francuscy postanowili zbudować flotę wojenną. Wtedy rósł tu jeszcze ogromny las, który w tym właśnie celu ścięto. Kiedy już nie było żadnych drzew, wiatr mógł bez przeszkód zmieść górne warstwy gleby. Rezultat ma pani przed sobą.

— Ponury widok. Byłoby okropne, gdyby coś takiego zdarzyło się na Isle de Bas.

— Nie ma obawy. Jeśli na pani wyspie nie zostanie odkryta ropa albo złoto, z pewnością nikt się nią nie zainteresuje.

Nadine uśmiechnęła się. James nigdy nie zrozumie, jak jej tam dobrze. Właśnie ustronne położenie Isle de Bas pociągało ją najbardziej.

W parę chwil później dotarli do Pleyben. James zatrzymał się.

— Musi pani koniecznie zobaczyć tutejszy cmentarz. Należy do najpiękniejszych we Francji.

Nie miała akurat nastroju do zwiedzania starych cmentarzy, ale poszła posłusznie za swoim przewodnikiem. Obejrzeni calvaire, drogę krzyżową, składającą się z wyrzeźbionych w drewnie scen biblijnych. Na koniec dotarli do małego domku, zbudowanego ze zwietrzałych granitowych bloków.

— Co to jest? — zapytała.

— Kostnica. Kiedyś cmentarze były za małe, by pomieścić wszystkich zmarłych. Dlatego też po roku odgrzebywano ich z powrotem i... no cóż, przynoszono do tej kostnicy. To kolejny dowód na odmienność bretońskich obyczajów.

— Może pan nie uwierzy, ale sama jestem pół-Bretonką — powiedziała Nadine.

— Dlaczego miałbym nie wierzyć? Pewnie dlatego tak mnie pani fascynuje. Tajemnicza bretońska dusza...

— James! — zaprotestowała.

— Wiem, jestem niepoprawny. Proszę o trochę wyrozumiałości.

Wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku Locranon, gdzie mieli zjeść na obiad słynne *crepes*. Podobnie jak na Isle de Bas i tu wszystko wyglądało jak przeniesione z innych czasów.

James zaparkował i poszli pieszo przez miasteczko. Nadine zatrzymała się przed pracownią rzeźbiarza i zajrzała przez otwarte okno do środka. Przyglądała

się staremu mężczyźnie, zajętemu pracą. W sklepie obok były tkaniny, obrusy i serwetki. Miała ochotę coś kupić, ale kiedy się już zdecydowała, poczuła nagle niezmiernie kuszący zapach.

— Hm — pociągnęła nosem — co tak bosko pachnie?

— To właśnie *crepes*. Chodźmy, trzeba się posilić.

Weszli do słabo oświetlonego kamiennego domu przy głównym placu. Pachniało tu gorącym masłem. Wnętrze było trochę zadymione, ale głód, który Nadine i Jamesowi porządnie już doskwierał, sprawił, że nic im nie przeszkadzało. Poza tym należało to do specyficznej atmosfery owego lokalu. Zatrzymali się przy jednym z prostych ciężkich stołów, wyglądających jak przeniesione ze średniowiecza. Za siedzenie służyły zwykłe ławy.

Do gości podeszła starsza kobieta, pytając, co podać. James swoją płynną francuszczyzną oznajmił, że zaczną od *crepe* z szynką i serem.

— I poproszę dwa *cidre*. Zgoda, Nadine? Lubi pani szynkę i ser?

— Brzmi to bardzo kusząco.

Prócz nich w lokalu było jeszcze kilka osób. Starsza pani, obsługująca gości, sama przygotowywała *crepes*. Po upieczeniu cieniutkich placków położyła na nie plastry szynki i sera, zwinęła zrećnie w ruloniki i podała na stół.

James pociągnął spory łyk *cidre*.

— Proszę—zachęcił Nadine. — Niech pani spróbuje. Odkroiła mały kawałek i włożyła go do ust.

— Dobrze — powiedziała przełykając. — Po prostu świetnie.

— Co powiedziałyby pani na jeszcze jeden, tym razem z jajkiem?

— Nie dam rady, już się prawie najadłam. Wino też jest znakomite, jeszcze takiego nie piłam. Podobnie jak ja teraz muszą czuć się aniołowie, kiedy uczują przy niebiańskim stole.

— Nadine, Nadine, co począć z pani fantazją?

James z uśmiechem pokręcił głową.

— Z moją? Przecież to pan cierpi na nadmiar wyobraźni, Jamesie Blackwell, nie ja. — Roześmiała się.

Czuła się rzeczywiście doskonale. Jedzenie było dobre, pogoda prześliczna, a z Jamesem wspaniale się podróżowało. Życie jest piękne, pomyślała. Ten dzień mógłby być absolutnie bez skazy, gdyby tylko udało jej się zapomnieć o Johnie. Wciąż jednak pojawiał się przed nią jego obraz i zawsze w najmniej odpowiednim momencie.

Ciekawe, czy Johnowi taka wycieczka również sprawiłaby przyjemność? Chyba nie, powiedział przecież, że jest samotnikiem. Woli ciszę i spokój od najbardziej nawet interesujących miast. Musiała przyznać, że w gruncie rzeczy ona też. Ale miło było raz dla odmiany oglądać przez cały dzień coś innego. Podobne wyjazdy są potrzebne, żeby potem w domu znów być szczęśliwym.

Owe rozważania tak ją pochłonięły, że zupełnie nie zauważyła badawczych spojrzeń Jamesa.

— Królestwo za pani myśli — powiedział.



Wzdrygnęła się.

— Myślałam akurat o domu — odparła szczerze.

— O Ameryce?

— Nie, o Kervarech.

Sięgnęła po swój kieliszek i wypita łyk wina.

— Naprawdę uważa pani to miejsce za swój dom?

— Tak.

Spojrzała na niego z powagą. Nic nie rozumiejąc, pokręcił głową. Nie mogła mu mieć tego za złe. Był człowiekiem bez korzeni. Wysyłany jako dziecko z jednej szkoły do drugiej nigdy nie poznał poczucia bezpieczeństwa, jakie daje dom. Położyła rękę na ramieniu mężczyzny. Powinien wiedzieć, że go rozumie i jest mu wdzięczna za ten wspaniały dzień. James ujął jej dłogi i podniósł do ust. Zaczął ją całować, patrząc przy tym Nadine głęboko w oczy.

Rozzłościła się na samą siebie, że dając wyraz swemu współczuciu, zapomniała o ostrożności. Traktowała Jamesa jak dobrego przyjaciela, lecz zdawała sobie przecież sprawę, że on chciałby być dla niej kimś więcej. I teraz mimo woli zachęciła go, by znów próbował się do niej zbliżyć.

Na szczęście w tej samej chwili podeszła do nich starsza pani, pytając, czy życzą sobie coś na deser. James odwrócił się w stronę Nadine.

— Nie sądzę, bym mógł dostać deser, o jakim marzę — odezwał się po angielsku, rzucając dziewczynie spojrzenie, które zdradzało jego pragnienia.

— Monsieur?

Kobieta pochyliła się, nie rozumiawszy, co powiedział.

Gwałtownie oderwał wzrok od Nadine..

— Proszę podać nam jeszcze dwa *crepes* z truskawkami i śmietaną oraz dwie filiżanki kawy.

Jego głos zabrzmiał ochryple.

Nadine chciała uprzejmie, ale jednoznacznie wyjaśnić sytuację. Szukała właściwych słów, by go nie urazić. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo właśnie przyniesiono zamówione danie.

Zjedli w milczeniu, a potem wrócili bez słowa do samochodu, by kontynuować podróż po Bretanii.

## 7

Nadine była zachwycona małymi wioskami i miasteczkami, które mijali w drodze na Pointę du Raz. Wyglądały malowniczo i kolorowo. Chętnie przyjrzałyby się im dokładniej, ale nie mieli na to czasu. Spuściła szybę i wciągnęła głęboko w płuca świeże powietrze.

— Bardzo lubię zapach morza — powiedziała do Jamesa.

Skinał tylko głową, najwyraźniej był wciąż w niezbyt dobrym nastroju.

Zostawili samochód na stromym wzgórzu za Douar-nenez, tętniącym życiem miasteczkiem rybackim, i poszli pieszo na Pointę du Raz. Wiał tak silny wiatr, że Nadine musiała obiema rękami przytrzymywać unoszoną wciąż do góry sukienkę. Prócz paru kępek

wyschniętej trawy na skałach nic nie rosło. Mimo pięknej słonecznej pogody miejsce to wyglądało na samotne i opuszczone.

Wyobraziła sobie, jak musi tu być podczas burzy. Mimowolnie spojrzała, czy na horyzoncie nie ma wysokiej, zwiastującej nieszczęście fali. Ale morze było spokojne. Na jego rozległej powierzchni pokazywały się od czasu do czasu jedynie niewielkie kłęby piany. Nadine jednak czuła się trochę nieswojo. Ów skalisty, wysunięty kawałek lądu miał w sobie coś niepokojącego. Skały, niebo i morze, pomyślała. To jest właśnie Bretania.

James otoczył dziewczynę ramieniem i wskazał na latarnię morską, wznoszącą się na samym końcu cypla.

— Powiada się, że żaden statek nie przepłynie tędy cało. Przed niebezpieczeństwem ostrzega latarnia, ale wszyscy francuscy marynarze robią znak krzyża, kiedy muszą znaleźć się w tym miejscu.

Nadine wzdrygnęła się. Ponury nastrój zwykle szybko się jej udzielał.

— A tam, po drugiej stronie, znajduje się Isle de Sień — opowiadał dalej James. — Mamy szczęście, że widoczność jest dziś tak dobra. Przeważnie wcale tej wyspy nie widać, a przy sztormowej pogodzie trudno się domyślić, że w ogóle istnieje. Wiedziała pani, że Bretania zawdzięcza swoją nazwę Wielkiej Brytanii? W piątym wieku tysiące mieszkańców opuściło Anglię. Nowej ojczyźnie dali miano „Bretania”.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

— Skąd zna pan tak dobrze historię, James?

Zawahał się przez moment, a potem wybuchnął śmiechem.

— Muszę się do czegoś przyznać. Kiedy postanowiłem, że przyjadę i porwę panią do Paryża, spędziłem cały dzień w bibliotece, żeby zdobyć trochę wiadomości o Bretanii.

Nadine była poruszona. Im dłużej przebywała z Jamesem, tym bardziej go lubiła. Ale to tylko przyjaźń, pomyślała, taka sama jak z Kirkiem.

— Chodźmy, zejdziemy kawałek w dół.

Wziął ją za rękę i poprowadził pewnie przez ostre kamienie. Na północ od miejsca, gdzie się znajdowali, rozciągała się szerokim łukiem zatoka. Na morzu widać było łódź rybacką z zarzuconymi sieciami. Piękno krajobrazu zachwyciło Nadine. Mogłaby stać tak godzinami, patrząc na wodę. Isle de Sień, choć z daleka wydawała się mała i niepozorna, przyciągała wzrok z magiczną niemal siłą. Czy można zwiedzać tę wyspę? To musiało być" ekscytujące — zobaczyć z bliska miejsce, gdzie druidzi dokonywali swoich tajemniczych obrzędów. Naturalnie Nadine interesowało również, jakie zwierzęta tu żyją. Małe kraby chowały się z przestraczem w kałużach, kiedy przechodzili obok. Czasem z wody wyskakiwała ryba, by po sekundzie zniknąć z powrotem w morzu. Gdyby nie wiatr, można by tu spędzić całe popołudnie, stwierdziła Nadine. Tuż nad nią fruwały mewy, a rybitwy szukały pożywienia.

— Pięknie tutaj! — zawołała do Jamesa.

Kiwnął głową.

— Ale jeśli chce pani zobaczyć dziś jeszcze Carnac, musimy zaraz ruszać — odkrzyknął przez wiatr.

Po chwili znów siedzieli, w samochodzie.

— Jak pan myśli, czy miłość do morza bywa dziedziczna?

Roześmiał się.

— Kto wie? A co, ma pani uczucie, że już raz to przeżyła? Tak, jakby była tu pani w poprzednim wcieleniu?

— Nie, nie o to mi chodzi — powiedziała powoli. Nie miała pewności, czy potrafi wyjaśnić, co ma na myśli.

— Czasem wydaje mi się, że owe miejsca tak wiele dla mnie znaczą, ponieważ stąd pochodzi moja matka. To strasznie trudno wytłumaczyć. W dziwny sposób czuję się w Bretanii, a zwłaszcza w Kervarech, jak w domu.

— Nie sądzę, by było to takie dziwne. W końcu Kervarech od wieków jest własnością pani rodziny. Ale proszę nie myśleć tyle o przeszłości. Niech pani poświęci nieco uwagi chwili obecnej, a także — mnie.

— Jedziemy teraz do Carnac?

Nadine uznała, że lepiej będzie zignorować jego ostatnie słowa.

Spojrzał na zegarek.

— Tak, dotrzemy tam w najlepszym czasie o zachodzie słońca.

— Czy wiadomo, kto ustawił tam te kamienie?

— Prawdopodobnie pozostawili je pierwsi miesz-

kańcy, być może, osadnicy z Azji. Porównuje się je do egipskich piramid, bo ich budowniczości najwyraźniej posiadli sporą wiedzę z zakresu fizyki, co w późniejszych pokoleniach znów zostało zapomniane. Kamienie są bardzo ciężkie, ustawienie ich musiało kosztować wiele trudu.

— Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę.

Jechali drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża. W Lorient skierowali się w głąb lądu, skręcając w kierunku Vannes. Mijali pola i jakby uspięne wioski. Panował tu nastrój spokoju, który udzielił się Nadine. W Aurey James znów zjechał w stronę morza, stąd pozostało do Carnac tylko parę kilometrów. Dziewczyna obserwowała przez okno horyzont. Słońce już zachodziło, malując niebo na różowo i złoto. Nie mogła się wprost napatrzeć na te kolory.

— Tam — powiedział nagle James.

Na taki widok nie była przygotowana. Przed nią stał rząd ogromnych skalnych bloków, wyglądających jak zamieniona w kamień armia. Ostatnie promienie słońca barwiły je na ciemnoczerwono. Nadine wydawało się to tak niesamowite, że mimo woli otuliła się szczelniej chustą, jakby chciała w ten sposób ochronić się przed złem, które czyhało w cieniu.

James zatrzymał się na rozległym polu, wypełnionym rzędami kamieni. Siedzieli w milczeniu obok siebie, patrząc na ów teatr tysiącletnich mitów.

— Robi to wrażenie, prawda? — odezwał się w końcu mężczyzna.

— Brak mi słów — wyjąkała. — Czegoś takiego nigdy "jeszcze nie widziałam.

Pochyliła się lekko, obserwując posępny obraz. Pierwszy raz w jej życiu jakiś widok sprawił, że poczuła dreszcze. James dotknął ręki dziewczyny, budząc ją z zamyślenia.

— Co się stało? Nie podejmiemy, żeby przyjrzeć się temu z bliska?

— Nie wiem...

Zaczęła rozcierać sobie ramiona.

— Właściwie całkiem dobrze widzę i stąd.

— Chyba się pani nie boi? — przekomarzał się. — Taka duża dziewczynka i przestraszyła się kamieni.

Tego już było za wiele. Przekornie odrzuciła do tyłu głowę, otwierając drzwi samochodu. Ale kiedy poszła za Jamesem, jej niepokój jeszcze wzrósł. Unosił się tu jakiś korzenny zapach, ale Nadine nie zwróciła na to uwagi. Wydawało jej się, że czuje woń krwi, krwi ludzi, których kiedyś, dawno temu, składano tu na ofiarę. Zrobiło jej się okropnie zimno, lecz wmawiała sobie, że to od chłodnego powietrza.

— W Bretanii jest wiele takich kamieni — opowiadał James. — Część zniszczyli pierwsi misjonarze, budując na ich miejscu swoje kościoły. Ale pogańskie obrzędy zachowały się jeszcze przez całe stulecia. A teraz, w dwudziestym wieku, *menhire* wciąż tu stoją.

— Nie uważa pan, że są niesamowite? Mnie nie podobają się wcale.

— Co pani jest, Nadine? Zupełnie pani nie poznaję.

Te kamienie, całkiem zresztą nieszkodliwe, są przecież świadkami historii.

Pokręcił z dezaprobatą głową.

Nadine znów się wzdrygnęła.

— Zdaje mi się, że bije z nich coś złego. Pan tego nie widzi, James?

— Przyznaję, że ma się dziwne uczucie, wiedząc, jak długo tu już stoją. Ale otaczająca je tajemnica sprawia, że są tym bardziej ciekawe.

— Czuję, że służyły złym celom.

— A może to tylko zwyczajne kamienie nagrobne?

— Nie. Jest w nich coś niepokojącego.

Przeszli między kamieniami. Niektóre z nich miały ponad trzy metry wysokości i musiały ważyć parę ton. Kiedy znaleźli się w centralnym punkcie, James zwrócił uwagę, że cienie rzucane przez *menhire* tworzą krąg. Chciał go przekroczyć, ale Nadine nie pozwoliła.

— Nie! Proszę tu zostać!

Odwrócił się.

— Co się stało?

— Nic — odparła zmieszana. — Te kamienie wydają mi się niebezpieczne. Nic na to nie mogę poradzić. Zachowuję się chyba głupio, ale trochę się boję.

— W takim razie wracajmy — powiedział, obejmując ją ramieniem.

Po raz pierwszy nie broniła się przed jego dotknięciem.

Kiedy James włączył silnik, odetchnęła z ulgą.



Cieszyła się, że opuszczają to ponure miejsce. By oderwać się od przygnębiających myśli, zapytała Jamesa, jak było na party dla dyplomatów, na które zaproszono jakiś czas temu jego i Stacy.

— Tak jak zawsze — dużo jedzenia i picia i ludzie jak wszędzie. Ta paryska *scenę* robi się dość monotonna. Wciąż spotyka się te same nudne osoby i rozmawia o tych samych sprawach. Być może wkrótce wyjadę z Francji. Chętnie zwiedziłbym Indie, a Taj Mahal to jeden z głównych punktów na mojej liście miejsc godnych obejrzenia. Nie wybrałaby się pani ze mną?

— James, mówi pan tak, jakby chodziło o przechadzkę w niedzielne popołudnie — odparła ze śmiechem.

Wzruszył ramionami.

— Żyjemy w czasach odrzutowców. Może jeszcze w tym tygodniu polecilibyśmy do Nepalu?

— Oczywiście — zażartowała. — Ale czy nie lepiej wynająć okręt i wybrać się w podróż dookoła świata? Chętnie zobaczyłabym Tahiti i Australię. Czemuż by nie pojechać też na biegun północny?

— Ma pani rację. Czemu nie? To o wiele lepszy pomysł. Zaraz porozmawiam z moim biurem podróży i każę zarezerwować dla nas dwa miejsca. Proszę napisać do swoich dziadków, że wróci pani dopiero za rok.

— James, niech pan będzie wreszcie poważny — skarciła go.

— Ależ jestem!

Spojrzała na niego. W oczach mężczyzny nie było uśmiechu.

— Jedź ze mną, Nadine. Potrzebuję cię. Rok spędzony z tobą byłby czymś cudownym.

— James, ja też mówię poważnie. Nie opuszczę Kervarech zaraz po tym, jak go odnalazłam. Tu jest moje miejsce. A poza tym... nie mogę wyjechać z człowiekiem, którego prawie nie znam.

Była zła, że każda rozmowa z Jamesem kończy się w taki sam sposób.

— Już wiem. To mieszanka purytanizmu i tajemniczego celtyckiego instynktu i ona właśnie sprawia, że jesteś tak podniecająca, Nadine. Aleja się nie poddam.

Westchnęła i wyrzała przez okno, patrząc na czarne bagna bretońskiego półwyspu. W domach, które mijali, paliły się już światła. W środku ludzie siedzieli pewnie przy kolacji. Nadine poczuła głód. Wydawało jej się, że cała wieczność minęła od czasu, gdy w Locarnon jedli owe przepyszne *crepes*. James znów odgadł jej myśli.

— Zaraz poszukamy jakiejś miłej restauracji, zaczynam się robić głodny. Powiedz, jeśli zobaczysz coś zachęcającego.

Zatrzymali się przed niewielką wiejską gospodą o nazwie „Le Coq Rouge”. Była tam maleńka jadalnia, a szef kuchni polecał dziś homary. Nadine i James wypili do tego karafkę znakomitego wina, a na deser zjedli świeże truskawki.

— Teraz, na zakończenie tego pięknego dnia, przy-

dałoby się pójść gdzieś na tańce — stwierdził James.

— Było naprawdę cudownie. Bardzo dziękuję. Tobie zawdzięczam, że wiem teraz znacznie więcej o Bretanii.

— Hm, jako nauczyciel często spotykałem się z komplementami — zauważył z uśmiechem. — Ale nigdy w tak nudnej dziedzinie jak bretońska historia.

Nadine zrobiła się czerwona. Nie miała wątpliwości, iż pozostałe przedmioty, które „wykładał”, były bardziej intymnej natury.

Do Roscoff wrócili dopiero późnym wieczorem. Mimo że James gorąco protestował, Nadine kazała mu jechać prosto na przystań. Tam dowiedziała się, że ostatni prom odszedł przed godziną.

— O, nie! — wykrzyknęła z przerażeniem. — Czy nie ma innego sposobu dostania się na wyspę?

Kapitan portu pokręcił głową.

— Jeśli nie chce pani płynąć wpław, trzeba, niestety, zaczekać do jutra.

Odwróciła się do Jamesa.

— Co teraz zrobimy? Zupełnie nie zauważyłam, że już tak późno.

— Nic się nie stało — uspokajał ją. — W miasteczku jest całkiem miły hotel, na pewno dostaniemy pokój.

— Dwa — poprawiła go.

— Dwa pokoje — powtórzył posłusznie, krzywiąc się.

Zostawili samochód i poszli w stronę centrum.

Księżyc stał wysoko na niebie, rzucając na wodę swoje blade światło. Na falach kołysały się małe łodzie rybackie. Na drewnianych słupach schły sieci. Było cicho i spokojnie. James zatrzymał się i położył rękę na ramieniu dziewczyny.

— Piękna noc — powiedział.

Skinęła głową.

Popatrzył na nią.

— W świetle księżycy wyglądasz jeszcze piękniej, Nadine — szepnął.

Kiedy się uśmiechnęła, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Nie broniła się. Był taki miły i troskliwy, że naprawdę chciałyby odwzajemnić jego uczucie. Myśl o tym, by kochać i być kochaną, wydawała jej się wspaniała. A James chyba rzeczywiście bardzo ją lubił, w przeciwieństwie do tego zarozumiałego Johna Reynoldsa, który pocałował ją tylko po to, by pokazać swoją przewagę.

James, widząc, że dziewczyna go nie odpycha, przytulił ją jeszcze mocniej, z rosnącą namiętnością. Miała nadzieję, że poczuje to samo, co przy pocałunku Johna. Ale jedynym wrażeniem było zażenowanie i niechęć. Kiedy mężczyzna usiłował pociągnąć ją za sobą na ławkę, uwolniła się z jego objęć.

— Już późno, James, a ja jestem zmęczona.

Nie ukrywał swego rozczarowania.

— Znów zwyciężyły twoje purytańskie zasady, Nadine? — spytał złośliwie.

— Nazwij to, jak chcesz — odparła z nieszczęśliwą miną.

Była tak samo zawiedziona jak on. Czy kiedykol-

wiek jeszcze odczuje to podniecenie, jakie wywołał w niej pocałunek Johna?

Roscoff o tej porze wyglądało jak wymarłe. Tylko światła w oknach domów dawały Nadine pewność, że na szczęście ona i James nie są jedynymi ludźmi, jacy zostali jeszcze na świecie.

Akurat wchodzili po schodach do hotelu, kiedy jego drzwi otworzyły się i stanął w nich John Reynolds.

— John! — zawołała zaskoczona kompletnie Nadine. — Co pan robi w Roscoff? Myślałam, że nigdy nie opuszcza pan wyspy.

— Cześć, Nadine.

Na Jamesa zupełnie nie zwrócił uwagi.

— Przyjeżdżam tu zawsze raz w tygodniu.

— I nocuje pan tutaj?

— Nie. Przypłynąłem motorówką i właśnie miałem zamiar wracać.

— Mógłby pan zabrać nas ze sobą? Spóźniliśmy się na prom.

— Niestety, trzy osoby nie zmieszczą się w motorówce. Niebezpiecznie byłoby ją przeładować, bo zanosi się na burzę. Przykro mi.

Obdarzył Jamesa chłodnym spojrzeniem, a ten wzruszył obojętnie ramionami. Nadine była rozczarowana. Lecz nagle przyszło jej coś do głowy.

— James, czy miałeś w ogóle zamiar wracać jeszcze do Kervarech? Skoro jutro i tak jedziesz do Paryża, mogę cię tu zostawić i zabrać się z Johnem.

— Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym.

Spojrzał na nią badawczo.

— Ale skoro tak, puszcze cię, lecz pod jednym warunkiem: musisz wypić ze mną strzeziennego. Pan ma z pewnością parę minut czasu, panie Reynolds?

— Niech będzie — odparł bez większego entuzjazmu zapytany.

— Nie sprawi to panu kłopotu, John? Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mógł mnie pan zabrać.

Weszli do hotelowej restauracji.

— Mam pasażera, Marie — powiedział John do dziewczyny stojącej za barem. — Czego się państwo napiją? — spytał Nadine i Jamesa.

Najwyraźniej czuł się tu gospodarzem.

— Proszę kieliszek koniaku — zamówił James. — A ty, Nadine?

— Dla mnie sherry. Zrobiliśmy sobie wycieczkę po okolicy — zwróciła się do Johna i opowiedziała, co widzieli.

James siedział odchyłony do tyłu i sącył swój koniak, obserwując ją uważnie.

— Bretania jest fascynująca — mówiła akurat Nadine.

— Naprawdę nie wrócisz ze mną do Paryża? — przerwał jej nagle. — Stacy ucieszyłaby się, a jeśli u niej jest ci za ciasno, mogłabyś mieszkać u mnie.

Nadine zrobiła się czerwona. Rzuciła Jamesowi gniewne spojrzenie. Udał, że go nie zauważył.

— Mówiłam ci przecież, że nie zamierzam wyjeżdżać z Kervarech. Zrozum mnie wreszcie.

— Chyba powoli zaczynam... — odparł, spoglądając na Johna.

Nadine dopiła swoją sherry.

— To był cudowny dzień. Dziękuję, James, szczęśliwej podróży. I pozdrów ode mnie Stacy.

— Zrobię to — obiecał. — Do zobaczenia. Tak łatwo nie zrezygnuję, przekonasz się o tym.

Wstał i podał Johnowi rękę.

— Miło mi było pana poznać.

Potem odwrócił się do Nadine i pocałował ją w oba policzki.

— Dobranoc, moja mała dziewczynko.

Odszedł. Nadine patrzyła w ślad za nim. Było jej smutno, że nie potrafiła go pokochać.

— Chodźmy — powiedział szorstko John. — Kiedy zajdzie księżyc, na morzu będzie zbyt ciemno. Chciałbym zdążyć przed tym.

Opuścili lokal i poszli w milczeniu na przystań, gdzie John zacumował motorówkę. Nadine patrzyła, jak na nią wskakuje i kładzie swoje rzeczy pod ławkę.

— Proszę wsiadać — nakazał. — Na co pani jeszcze czeka?

Zawahała się. Szukała jakiegoś oparcia, by nie stracić równowagi i nie wpaść do wody. W końcu siadła na pomoście, przełożyła nogi za burtę i wślizgnęła się do środka. Odetchnęła z ulgą, gdy już się tam znalazła.

— Nieźle — pochwalił John. — Już myślałem, że znów będę musiał wyławiać panią z wody.

— Byłby pan pewnie zadowolony — odparła z wściekłością.

Uśmiechnął się.

— Pomału się przyzwyczajam.

Milczała obrażona, podczas gdy John włączał silnik i reflektor. Potem odbił od brzegu. Kiedy zostawili port daleko za sobą, dodał gazu. Hałas uniemożliwił jakąkolwiek rozmowę, każde z nich siedziało więc pogrążone we własnych myślach. Nadine obserwowała ukradkiem jego profil twarzy. Patrzył uważnie przed siebie i wydawało się, że zapomniał zupełnie o swojej pasażerce. Zazdrościła mu, że potrafi się tak skoncentrować. Ona w jego obecności nie była w stanie zebrać myśli.

Popatrzyła na jego włosy, rozwiane na wietrze. Odgarniał je niedbałym ruchem z czoła. Nawet ten całkiem zwyczajny gest fascynował Nadine. Uważała, że John jest niezwykle atrakcyjny i pragnęła, by on darzył ją takim samym podziwem.

To bez sensu ulegać podobnym marzeniom, zganiła się w duchu. Najwyraźniej należała do tych kobiet, które zawsze zakochują się w niewłaściwym mężczyźnie.

## 8

John przywiązał mocno motorówkę i upewnił się, czy wszystko jest w porządku.

— Będzie burza? — spytała Nadine, patrząc na niego.

— Trudno powiedzieć. Nie zawsze można polegać na prognozach pogody. Ale księżyc miał jasną obwód-



kę, nie widziała pani? To znak, którego nie można lekceważyć.

Wyprostował się.

— No dobrze, to musi wystarczyć. Chodźmy.

Poszli w kierunku Kervarech, bardzo uważając, by w ciemności przypadkiem zbyt do siebie nie zbliżyć. Nadine zastanawiała się, czy John w ogóle jeszcze pamięta, że niedawno ją całował. Jeśli tak, to pewnie teraz tego żałuje, pomyślała z przygnębieniem.

— On nie jest moim chłopakiem, nie ma nawet żadnego zawodu — powiedziała nagle, nie myśląc, co mówi. — Studiuje historię sztuki.

— Nie musi się pani przede mną tłumaczyć — odparł krótko. — Nic mnie to nie obchodzi.

— I bardzo słusznie — wybuchnęła.

Znów zapadło między nimi milczenie, które Nadine zaczęła wydawać się nie do zniesienia. Szukała w myślach jakiegoś niezobowiązującego tematu.

— Wie pan, że na Isle de Bas podobno żył kiedyś smok? I że zabił go święty Pol de Leon?

— Tak, niedaleko stąd jest nawet odcisk łapy tego smoka. A także odcisk kolana św. Pola, w miejscu, gdzie ukląkł i modlił się po zwycięskiej walce.

— Poważnie?

Nadine była bardzo podekscytowana.

— Muszę to zobaczyć. Nie wiedziałam, że interesuje się pan również starymi legendami. Myślałam, że jedynym pana zajęciem jest obserwowanie mew i innych ptaków.

— A więc się pani myliła.

Zerknęła na niego ukradkiem, ale wyraz twarzy Johna był tak samo surowy i odpychający jak i przedtem. Zrezygnowała więc z dalszych prób nawiązania rozmowy. Deprymowało ją, że ów mężczyzna, będąc tak blisko niej, jest równocześnie taki daleki.

Już prawie dotarli do Kervarech, kiedy John nagle przerwał milczenie.

— Pani przyjaciel wydawał się bardzo rozczarowany, że nie chciała pani zostać w Roscoff. Dlaczego właściwie tak się pani spieszyło?

— Nie wiem — odparła szczerze. — Chciałam po prostu wrócić do domu.

— Czy pani dom nie znajduje się w Ameryce? Madame Carnous opowiadała mi, że każdego dnia dostaje pani list od swego adoratora, który najwyraźniej umiera z tęsknoty.

Nadine nie wierzyła własnym uszom. Kirk rzeczywiście pisywał do niej niemal codziennie, prosząc, by już wracała. Ale niesłuchaną rzeczą było, że gospodyni informowała Johna o jej korespondencji.

— Nie każdy jest takim pustelnikiem jak pan — odparła z wściekłością i odwróciła się gwałtownie, by na niego spojrzeć. — To podłe, że rozmawiał pan z madame Carnous o przychodzących do mnie listach.

— Proszę się uspokoić. Jeśli chce pani wiedzieć dokładnie, z trudem udało mi się wyciągnąć od niej tę informację. Wczoraj przypadkowo byłem koło pani domu, gdy przyszedł listonosz. Zdaje się, że wszędzie zostawia pani po sobie złamane serca.

— Nieprawda! — zaprzeczyła wzburzona.

— Również to nic mnie nie obchodzi — powiedziała szorstko. — I ma pani rację — nie każdy zadowolona się prostym życiem. Jesteśmy na miejscu. Dobranoc.

— Dobranoc — rzuciła nieprzyjaznym tonem, zartzaskując za sobą drzwi.

Była zbyt rozzłoszczona, by sięgnąć po pamiętnik. Próbowwała czytać, ale wkrótce oczy same zamykały się jej ze zmęczenia. Zgasiła więc światło.

Tej nocy śnił jej się smok. Znalazła się w jego jamie i uciekała przez podziemny labirynt. Wciąż wołała przy tym Johna. Smok gonił ją, rycząc straszliwie. Z jego nozdrzy wydobywały się płomienie. Nagle zjawił się John, ubrany jak król Artur, trzymając w ręku wysadzany drogimi kamieniami miecz. Na ten widok smok zniknął, a ona rzuciła się swemu wybawicielowi w ramiona. Lecz kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że stoi przed nią James. Jaskinia zaś zamieniła się w pole pełne olbrzymich kamieni.

Z krzykiem zerwała się z łóżka. Była oblana potem, a serce biło jej jak oszalałe. Spojrzała na zegarek, stwierdzając, że jest dopiero czwarta rano. Zapaliła lampę i wyjęła pamiętnik. Zaczęła pisać:

*Miałam straszny sen— o Johnie i Jamesie. Chyba już dziś nie zasnę. Wydaje mi się, a właściwie mam pewność, że zakochałam się w Johnie. Wystarczy mi usłyszeć jego imię, a natychmiast pogrążam się w marzeniach. Jak mam mu udowodnić, że jestem inna, niż sądzi?*

Strach ustąpił miejsca smutnym rozważaniom. Znowu zgasła światło. Wkrótce już spała.

Kiedy obudziła się rano, usłyszała, że za oknem grzmi. O szyby dzwonił deszcz. Odsunęła zasłony i spojrzała na morze. Było wzburzone, a fale z hukiem odbijały się od brzegu. Przy takiej pogodzie James przynajmniej nie będzie miał pokusy, by wrócić na wyspę, pomyślała z zadowoleniem.

Burza trwała przez cały dzień. Przedpołudnie Nadine spędziła więc na lekturze, a w porze obiadu zeszła na dół. Pani Carnous ugotowała pożywne danie, które trochę postawiło dziewczynę na nogi.

— W taki dzień jak dziś pani mąż chyba nie pracuje w polu — powiedziała Nadine.

— Nie. Ale w gospodarstwie zawsze jest coś do roboty. Jean czyści teraz dojarki, a potem będzie sortował nasiona. Za kilka dni powinny już dojrzeć karczochy, próbowała ich pani kiedyś?

Nadine nie miała pojęcia, jak to smakuje. Od czasu przyjazdu na Isle de Bas poznała wiele nowych potraw i wszystkie okazały się pierwszorzędne.

Po obiedzie wróciła do swojego pokoju, by zanotować w pamiętniku wrażenia z wczorajszej wycieczki. Ale ledwie zaczęła pisać, długopis odmówił posłuszeństwa. Szukała w torebce innego, lecz bez rezultatu. Pani Carnous poszła już do siebie, nie było więc sensu schodzić na dół. Nadine rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok padł na biurko. Może w którejś z szuflad znajdzie coś do pisania? Okazało się jednak, że są puste

— prócz jednej, w której znajdowało się niewielkie blaszane pudełko.

Dziwne, pomyślała. Pewnie nie zauważono go podczas sprzątanania. Otworzyła je z jakimś trudem i znalazła w środku plik starych listów, przewiązanych żółtą wstążeczką. Pod spodem leżały dwie fotografie. Jedna z nich była znajoma — przedstawiała jej rodziców. Na drugiej śmiało się dziecko, trzymające w objęciach spaniela. Miało czarne proste włosy. To chyba moja matka, stwierdziła Nadine. W tle dało się rozpoznać plażę, niewiele zmieniła się od tamtego czasu.

Na samym spodzie była jeszcze mała książeczka do nabożeństwa. Otworzyła ją. „Emilie Marie Annaik Laurent” — wykaligrafowała niewprawną dziecięcą ręką. A nad tym widniała napisana po francusku dedykacja: „Naszej kochanej Emilii na pamiątkę I Komunii Świętej”. Nadine przekartkowała modlitewnik i znalazła w nim kilka zasuszonych liści i kwiatów.

Szperając dalej, natrafiła na guzik od munduru marynarki amerykańskiej. Dziwna myśl przyszła dziewczynie do głowy. Ona, Nadine, nie ma nic od swego ukochanego, nawet blaszanego pudełka, w którym mogłaby przechowywać wspomnienia.

Rozwiązała wstążeczkę i z wahaniem sięgnęła po pierwszy list. Był od jej ojca.

*Chere Emilie!*

*Je t'aime. To jedyne francuskie zdanie, jakie znam. Ale nie potrzebuję więcej, by powiedzieć, jak bardzo Cię kocham. Wciąż o Tobie myślę i zastanawiam się, w jaki*

*sposób przekonać Twoich rodziców, że naprawdę kocham Cię z całego serca. Wiem, że mi nie ufają. Gdyby znali moje uczucia! Wówczas na pewno by mi Ciebie oddali. Będę Cię kochał aż do śmierci.*

*Czekam na wiadomość od Ciebie i wiem, że znajdziemy sposób, by już na zawsze być razem.*

*Z miłością.*

*Twój Paul.*

Odłożyła ten list do pozostałych. Teraz dopiero w pełni rozumiała, z jakimi przeszkodami musieli walczyć jej rodzice. Wzięła do ręki następną kartkę.

*Moja najdroższa Emilio,*

*Ust do Twoich rodziców przyjdzie najpewniej tego samego dnia. Twoja rada była jak zwykle znakomita. Napisałem o mojej rodzinie i małym miasteczku w Ameryce, w którym się wychowałem. Jest niewiele większe i nie tak malownicze jak Twoja ukochana wyspa. Kiedy już zostaniemy małżeństwem, będziemy dzielić czas na pobyt w Stanach i na Isle de Bas, tak by nasze dzieci mogły poznać i jedno, i drugie.*

*Mam nadzieję, że Twoi rodzice zrozumieją, że bardzo mi Ciebie brakuje. Nie chcę niczego innego, jak tylko móc Cię kochać i chronić przez resztę mojego życia.*

*Od Twojego wyjazdu z Paryża minęły już trzy długie miesiące. Z każdym dniem coraz ciężiej mi bez Ciebie. Co by się nie stało, wkrótce będziemy razem, obiecuję.*

*Całuję Cię tysiąc razy. Kocham Cię.*

*Twój Paul.*

Nadine patrzyła na trzymany w ręku list. Wiedziała, że ta historia nie skończyła się tak szczęśliwie, jak

marzył ojciec. Było jej żal rodziców, ale także dziadków. Jak bardzo musieli tęsknić za swoją córką i cierpieć z powodu jej „nieodpowiedniego” małżeństwa z amerykańskim pilotem.

Trzeci list zaadresowany był do madame Carnous, z prośbą o przekazanie go Emilii.

*Najdroższa,*

*ostatnie wieści od Ciebie bardzo mnie zasmuciły. Wiem już, że Twój rodzice nie potrafią mnie zrozumieć.*

*Chcę teraz, moja ukochana, prosić Cię o coś, co nie będzie łatwe. Mam nadzieję, że znajdziesz w sobie siłę, by pójść za głosem serca. Pragnę Cię poślubić i być z Tobą na zawsze. Wiem, że potrafię uczynić Cię szczęśliwą, ale wiem także, że nic na świecie nie zdoła zastąpić Ci miłości rodziców.*

*Mam tydzień urlopu i w czwartek przyjadę do Roscoff. Będę czekał na przystani, w nadziei, że przyjedziesz. Rozmawiałem już z kapelanem w mojej bazie lotniczej — jest gotów udzielić nam ślubu.*

*Wiem, że kochasz mnie tak samo mocno, jak ja Ciebie. Przyjdź w czwartek! Tego dnia zaczniemy nowe życie.*

*Kocham Cię.*

*Paul.*

Nadine łzy popłynęły po policzkach. Otarła oczy i ostrożnie włożyła listy z powrotem do pudełka. To testament mamy, skierowany do mnie, pomyślała. Chce mi w ten sposób powiedzieć, że miłość potrafi zwyciężyć strach i ból.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że Kirka nigdy nie Jarzyła takim uczuciem. Dobrze, że go opuściła, jej

decyzja była słuszną. Na pewno dostał już list, w którym wszystko mu wyjaśnia. Miała nadzieję, że niebawem Kirk znajdzie sobie dziewczynę, która pokocha go tak, jak ojciec Nadine kochał jej matkę.

Testament miłości, powiedziała cicho do siebie.

Było to warte więcej niż złoto czy nawet Kervarech. Musi okazać się godna takiego przesłania.

Leżała na łóżku, nasłuchując odgłosów burzy i spadających równomiernie strug deszczu. Wciąż jeszcze lało.

Po południu usiadła w kuchni, czekając na panią Carnous.

— Dzień dobry, mademoiselle — powiedziała przyjaźnie starsza pani, stawiając na stole kosz z zakupami. Wyjęła z niego świeże kraby i zabrała się do ich przyrządzania. Nadine pomagała jej przy tym.

— Madame — odezwała się. — Dziś znalazłam listy ojca pisane do mojej matki. Jeden z nich zaadresowany był do pani. Czy pani wtedy pomagała jej stąd uciec?

— Nie. Nie prosiła mnie o to. Była bardzo taktowna, nie chciała wciągnąć mnie w coś, co miało przysporzyć tylu trosk jej rodzicom: Ale ja przeczuwałam, co zamierza.

— Często opowiadała pani o moim ojcu?

— Tak, raz, kiedy wróciła z Paryża, pokazała mi jego zdjęcie. Wyglądał na bardzo przystojnego mężczyznę.

— To prawda. Mama też była piękna.

— Nie znałam ładniejszej i bardziej inteligentnej dziewczyny. Rodzice nie chcieli wysłać jej do szkoły



w Paryżu, ale proboszcz w końcu ich przekonał. Powiedział, że takiego talentu nie wolno zmarnować.

— Ale co się działo potem?

— W Paryżu poznała mężczyznę swego życia — pani ojca. Miała nadzieję, że rodzice będą się cieszyli razem z nią, ale oni byli już starzy i nie potrafili jej zrozumieć. Te trzy miesiące, które spędziła wtedy w domu, przyniosły wszystkim wiele smutku. I starsi państwo i Emilia ciągle płakali. Ona całymi godzinami siedziała w swoim pokoju albo szła na plażę i obserwowała gniazda mew.

— Umiała wspiąć się tak wysoko?

— Była bardzo zręczna, umiała wiele rzeczy.

— Dlaczego dziadkowie nie chcieli przynajmniej poznać mojego ojca?

— Bali się. Wiedzieli, że ich córka go kocha i obawiali się ją utracić.

— Co się stało, gdy mama odeszła?

— Szybko się zestarzeli, bez Emilii ich życie nie miało już żadnego sensu. Wciąż czytali listy od niej, płacząc przy tym. A potem je palili...

— Palili listy?!

— Tak, po wielokrotnym przeczytaniu. Wciąż kochali swoją córkę, a kiedy napisała, że urodziła się pani, cieszyli się razem z nią. Wyjęli butelkę koniaku i wzniesli toast. Pani babcia wydzierała nawet kocyc i siedem par dziecięcych skarpetek, ale nigdy ich nie wysłała. Duma jej na to nie pozwoliła.

— Jakie to smutne. Mama musiała być z tego powodu bardzo nieszczęśliwa.

— Wszyscy byli nieszczęśliwi. Emilia nie przestała

pisywać do rodziców, mimo że ani razu nie otrzymała odpowiedzi. Dziś jeszcze nie mogę myśleć o tym spokojnie.

Pani Carnous otarła łzy i zabrała się z powrotem do krabów.

— A kiedy mama umarła?

— To ich załamało zupełnie. Myślę, że gorzko żałowali tych wszystkich zmarnowanych lat. Oboje zmarli jeszcze tej samej zimy, tak jakby nie mieli po co żyć.

— To najsmutniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

— Tak. Ale teraz pani jest tutaj i przeszłość została ostatecznie pogrzebana.

Następnego ranka niebo było wciąż szare i pokryte chmurami. Zanosiło się na deszcz. Nadine miała ochotę wybrać się na poszukiwanie odcisku smoczej łapy, ale bała się, że zaskoczy ją ulewa. Poszła więc do ogrodu pielic chwasty i pomóc pani Carnous przy nawożeniu grządki szparagów. Gospodyni powiedziała, że w jednym miejscu, niedaleko domu, pokazały się już poziomki. Dziewczyna wzięła koszyk i udała się w drogę.

Spotkała pana Carnous, który orał swymi dwoma wołami pole, gdzie kiedyś miały wyrosnąć ziemniaki. Pomachała mu, a on przyłożył dłoń do czapki w geście pozdrowienia.

Znalazła poziomki i zaczęła napełniać nimi koszyk. Prawie taką samą ilość wkładała od razu do ust. Myślała przy tym o Johnie — świeże soczyste owoce też by mu z pewnością smakowały. Postanowiła, że

zapropnuje mu rozejm. Może wraz z burzą minął jego zły humor i uda się im porozmawiać przez parę minut, nie kłóćąc się.

Poszła kawałek ulicą. Po deszczu rozkwitały wrzosa, a janowiec stał już w pełnej krasie. Jego ostry zapach unosił się wokół. Zerwała parę gałązek i włożyła je do koszyka z poziomkami.

Znalazła się przy chatce Johna, ale nikt nie odpowiadał na pukanie. Weszła do środka. Pokój był pusty. Znalazła małą miseczkę i nasypała do niej poziomki, a gałązkę janowca wstawiła do szklanki z wodą.

Potem rozejrzała się za kawałkiem papieru, chcąc zostawić wiadomość. Niczego takiego jednak nie zauważyła. Miała nadzieję, iż mężczyzna domyśli się, że to ona przyniosła owoce i kwiaty.

Wróciła przez plażę, cały czas zajęta myślami o Johnie. Znowu przypomniał jej się ów pocałunek, prawie czuła go na ustach. Jakże różnił się od pocałunków Jamesa czy Kirka!

Dlaczego nie można sobie wybrać osoby, którą zechcemy obdarzyć swoją miłością? O ile mniej problemów miałyby, zakochując się w Kirku albo w Jamesie, który tak ją adorował. A ileż łatwiejsze byłoby życie jej matki, gdyby pokochała kogoś z wyspy. Zamiast tego musiała opuścić rodziców, by podążyć za wybranym mężczyzną do obcego kraju.

Gdy Nadine wróciła do Kervarech, słońce akurat wychyliło się zza chmur. Popołudnie spędziła z panią Carnous w ogrodzie. Potem wykapała się i umyła głowę. Wzięła książkę i poszła na plażę, by na wietrze szybciej wysuszyć swoje długie włosy.

Słońce ciepłymi promieniami ogrzewało jej plecy. Usiadła na piasku, opierając się o skałę. Otwartą książkę położyła na kolanach i spojrzała na morze. Z oddali widać było ogromne tankowce. Może ich trasa wiodła do Londynu, a może tylko do St. Mało na bretońskim wybrzeżu? Nadine wydały się niezgrabne i brzydkie. Jak pięknie musiało być kiedyś, gdy po morzach pływały jeszcze żaglowce. Maleńkie żagłówki pojawiały się czasem na horyzoncie, Nadine czuła się wtedy jak w dawnych czasach.

Gdy włosy już wyschły, wróciła do domu, by pomóc pani Carnous w kuchni. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła tam Johana. Siedział z jej gospodynią przy stole, rozmawiając o czymś z ożywieniem.

— Jest pani! — wykrzyknął na widok Nadine. — Właśnie miałem zamiar wybrać się na poszukiwania. To pani chyba powinienem podziękować za wspaniałe poziomki.

— Tak, zerwałam je dziś rano. Nie zastałam, niestety, pana w domu, mam nadzieję, że nie był pan zły za to moje wtargnięcie.

— Nie, oczywiście, że nie. Chciałem właśnie prosić madame Carnous o śmietaną do poziomek.

Starsza pani roześmiała się.

— John, wie pan przecież, że może się sam obsłużyć. To znaczy, jeśli mademoiselle Nadine nie ma nic przeciwko temu. Śmietana pochodzi przecież z mleka jej krowy.

— Krowa jest moja? — spytała ze zdziwieniem dziewczyna. — Myślałam, że wasza.

— Wszystko tutaj należy do pani, mademoiselle.

My jesteśmy tylko dzierżawcami, nie właścicielami.

— W takim razie proszę sobie wziąć tyle śmietany, ile pan zechce, John.

Odpowiedział uśmiechem, a Nadine ucieszyła się, że zapomniał już o ich głupiej sprzeczce.

— Zostanie pan na obiedzie? — zaproponowała. — Jedzenia wystarczy, prawda, madame Carnous?

— Naturalnie.

— W takim razie pójdę szybko po poziomki. To będzie mój wkład.

— Mogę pójść z panem? Mam ochotę na mały spacer.

Była w tak dobrym humorze, że nie obawiała się kłutni z Johnem.

— Oczywiście. Plażą czy ulicą? — uśmiechnął się.

— Plażą — odparła bez wahania.

Szkoda, że na chodzenie bosy jeszcze za wcześnie. Tak bardzo lubiła czuć piasek pod stopami.

— Ciągle jeszcze nie ma pani dość Kervarech? Samotność nie jest zbyt męcząca? — spytał, gdy znaleźli się na plaży.

— Nie. Nie sędzę, by mogło to nastąpić.

— Ze mną jest podobnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedy skończy się moja umowa, będę musiał stąd wyjechać.

Schylił się po jakąś szczególnie piękną muszlę i podał ją Nadine.

— A jakie ma pan plany? — spytała.

Serce zabiło jej mocno.

— Żebym to ja wiedział... Na wyspie nie znajdę, niestety, dla siebie żadnej pracy, w przeciwnym razie

osiedliłbym się tu na stałe. Chciałbym napisać książkę o moich doświadczeniach, ale nie mam na to pieniędzy.

— Po co panu pieniądze do pisania?

— Typowe pytanie bogatej rozpieszczonej panienci! Mógłbym ostatecznie jeść byle co, ale pisać musiałbym chyba na piasku, nie mając ani papieru ani maszyny, ani mieszkania.

Nadine z trudem powstrzymywała gniew.

— Przede wszystkim nie jestem bogatą rozpieszczoną panienką. Wbrew pana uprzedzeniom to był czysty przypadek, że odziedziczyłam Kervarech. Ale z tego tylko powodu nie stałam się nagle wielkim bogaczem.

— A pani przyjaciel, Blackwell? Jego również nie zalicza pani do zamożnych nierobów? A może jest tylko łowcą posagów?

Stali tak, patrząc na siebie z wściekłością.

— Wszystko mi jedno, kim jest, a pana nie powinno to wcale obchodzić — wysapała Nadine.

— A jednak mnie obchodzi — burknął i nagłym ruchem porwał dziewczynę w objęcia.

Całował ją namiętnie, trzymając mocno za głowę, tak że nie mogła się bronić. Nadine z początku walczyła z nim, pełna złości, ale i wrażenie, jakie wywołał jego pocałunek, sprawiło, że poczuła lęk. Jej ciało nalegało, by poddała się i odwzajemniła pocałunki, lecz nie pozwoliła sobie na to. Nie chciała okazać Johnowi swojej słabości. W końcu puścił ją i odsunął od siebie.

— Czy James też cię tak całuje? — spytał ponuro.

— Nie — wyszczała ze złością. — Jest na to zbyt dobrze wychowany!

Odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę Kervarech.

## 9

Gdy Nadine siedziała później sama przy stole, było jej przykro, że ona i John znów musieli się pokłócić. O mało się nie rozpłakała, tak bardzo bowiem pragnęła być razem z nim. Przez swoje nieprzemyślane słowa wszystko zepsuła. Dlaczego zupełnie nie mogli się ze sobą porozumieć? Czemu nie potrafiła sprawić, by John widział ją taką, jaka naprawdę jest? Tyle ich przecież łączy. Oboje kochają to miejsce i interesują się zwierzętami. A on chyba tęskni za nią tak samo, jak ona za nim. Po co tak zazdrośnie wypytywał o Jamesa? Ciekawe, jak czuje się teraz, siedząc samotnie w swojej chacie. Prawdopodobnie uważa, że lepiej byłoby, gdyby nigdy się nie poznali. Zakładając, że w ogóle jeszcze o Nadine myśli.

Muszę spróbować o nim zapomnieć, postanowiła. Jeśli nawet żywił dla niej jakieś uczucia, z pewnością nie była to miłość. Chcąc być uczciwą wobec samej siebie, musiała jednak przyznać, że ona się w nim zakochała. Ale to nie ma żadnego sensu. Musi odpuścić od siebie te wspomnienia.

Podjęcie decyzji uspokoiło ją nieco. Poszła spać. Ale mimo najlepszych chęci nie mogła mieć wpływu na swoją podświadomość. Przez całą noc śniła o Johnie i jego pocałunkach.

Obudziła się zmęczona i rozbita. Lecz kiedy wyjrzała

przez okno, nastrój odrobinę się jej poprawił. Świeciło słońce i zapowiadał się piękny dzień. Było bardzo ciepło. Po raz pierwszy od kiedy tu przyjechała, mogła wyjść z domu bez swetra. Przyszło jej do głowy, żeby wybrać się na wycieczkę. Miała zamiar zwiedzić wreszcie wyspę i postanowiła przeznaczyć na to cały dzień.

Pani Carnous przygotowała jej ogromną torbę z suchym prowiantem i Nadine ruszyła w drogę. Na początek chciała obejść wyspę dookoła, nie przechodząc jednak obok chaty Johna. Ale już po paru kilometrach skała zagroziła dziewczynie drogę. Nadine musiała więc wrócić przez wydmy na ulicę.

Na Isle de Bas znajdowało się sporo małych i większych gospodarstw. Małe należały prawdopodobnie do rodzin rybaków, uprawiających warzywa i owoce jedynie na własne potrzeby. Natomiast właściciele tych dużych sprzedawali płody rolne na targu w Roscoff.

Dochodziły już karczochy, na końcach gałązek było widać owoce, które zrywało się, zanim całkiem dojrzeją. Nadine wiedziała od swojej gospodyni, że w rzeczywistości są to pączki kwiatów.

Idąc, rozglądała się za odciskiem smoczey łapy, ale nie mogła go znaleźć. Szkoda, że nie zapytałam o to pani Carnous, pomyślała.

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy dotarła do małej wioski, gdzie postanowiła kupić sobie butelkę soku lub wody do obiadu. Ale najpierw chciała zwiedzić niewielki kościół.

Usiadła na jednej z nielicznych ławek, przypatrując



się wnętrzu. Nagle w ciemnym pomieszczeniu zapaliło się światło. Usłyszała szelest sukni. Był to ksiądz, który podszedł i zajął miejsce obok Nadine.

— Dzień dobry, mademoiselle. Czy mogę w czymś pomóc?

— Dziękuję, ojcie. Chciałam tak tylko posiedzieć.

— Czy pierwszy raz jest pani na naszej wyspie? — spytał ksiądz.

Wydawał się bardzo stary.

— Tak. Nazywam się Nadine Raleigh i mieszkam w Kervarech. Odziedziczyłam go po mojej matce.

— Kervarech — powtórzył. — W takim razie musi być pani córką Emilii Laurent. Miło mi panią poznać. Jestem ojciec Dominik. Dobrze pamiętam pani matkę.

— Tym bardziej się cieszę, że ojca spotkałam.

— Czy jadła już pani obiad, moje dziecko? Może miałyby pani ochotę zajrzeć do mnie na plebanię? Bardzo chciałbym dowiedzieć się czegoś o dalszych losach Emilii.

— Mam z sobą kanapki — powiedziała Nadine, wskazując na torbę. — Starczy dla dwóch osób. Moglibyśmy usiąść gdzieś na powietrzu?

— Ależ oczywiście. Chodźmy do ogrodu.

Ogród był przepiękny, a ojciec Dominik bardzo zeń dumny. Pachniało tu fuksjami i frezjami. Wysoki, porośnięty bluszczem mur chronił kwiaty i krzewy przed ostrym wiatrem od morza.

— Moją pasją są róże — opowiadał ksiądz. — Ale jeszcze na nie za wcześnie. Proszę przyjść za parę tygodni, a wtedy dostanie pani ode mnie najpiękniejszy bukiet róż, jaki kiedykolwiek pani widziała.

— Dziękuję, ojcie. Chętnie tu wrócę.

— Bardzo dobrze mówi pani po francusku, moje dziecko. Emilia doskonale panią nauczyła.

— Zawsze rozmawiała ze mną po francusku. Ale umarła, kiedy byłam jeszcze mała, sporo więc już zapomniałam.

— Można by sądzić, że jest pani stąd — stwierdził przyjaźnie.

— Czasem nawet zdaje mi się, że mieszkam tu od zawsze. W Kervarech czuję się jak w domu. A jeszcze do niedawna nie miałam pojęcia, że odziedziczyłam farmę we Francji. Dowiedziałam się o tym dopiero po śmierci mojego ojca. Dziadkowie doszli do wniosku, że powinnam tu przyjechać, a teraz nie wyobrażam sobie, że mogłabym opuścić to miejsce.

— Jest pani taka sama jak matka. Ona też bardzo kochała naszą wyspę. Cieszyłaby się, wiedząc, że i pani się do niej przywiązała. Czy Emilia była szczęśliwa?

— Myślę, że tak. Od kiedy tu mieszkam, wiele się o niej dowiedziałam. Tęskniła za rodzicami, ale bardzo kochała mojego ojca. Byli z sobą szczęśliwi.

Po twarzy starego księdza przebiegł cień.

— Laurentowie bardzo żalowali, że wyrzekli się swojej córki. Z decyzji podjętych w gniewie czy złości czasem najtrudniej się wycofać. Nie pozwala na to duma i potem się cierpi.

Siedzieli pod kasztanami i jedli chleb z aromatycznym serem domowej roboty. Nad nimi śpiewały ptaki. Panował tu nastrój wielkiego spokoju.

Ojciec Dominik opowiadał Nadine o matce.

— Była bardzo żywym dzieckiem i sprawiała wszy-

stkim wiele radości. Udało mi się przekonać jej rodziców, by wysiali ją na studia muzyczne do Paryża. Miała duże zdolności, chciała zostać nauczycielką. Laurentowie niechętnie zgodzili się na ten wyjazd i okazało się, że przeczucie ich nie myliło. W Paryżu Emilia poznała pani ojca.

— Tak, wiem o tym z listów rodziców.

— Cieszę się ogromnie, że panią spotkałem, moje dziecko. Często myślałem o naszej biednej Emilii. To dobrze, że była szczęśliwa.

— Na pewno, ojczec. Ale wiem, że tęskniła za wyspą.

— Tak jest z nami wszystkimi. Ta kraina ma jakąś tajemniczą moc nad ludźmi, którzy tu żyją.

Nadine uśmiechnęła się.

— Dowiedziałam się o starej legendzie i chciałabym zobaczyć odcisk łapy smoka. Czy ojciec wie, gdzie to jest?

— Oczywiście, to jedna z naszych atrakcji turystycznych. Idąc stąd w kierunku południowym, po mniej więcej dwóch kilometrach dotrze pani do kamiennego pola. Na samym środku widać ten odcisk, nie sposób go przeoczyć.

— Dziękuję. To był niezwykle szczęśliwy traf, że się spotkaliśmy.

— Też tak sądzę, moje dziecko. Proszę mnie wkrótce znów odwiedzić.

Nadine czuła, że zyskała nowego przyjaciela. Ksiądz odprowadził ją do bramy, podpowiadając, że w okolicy znajduje się jeszcze jedna rzecz warta obejrzenia — stara latarnia morska.

— Już się jej nie używa, ale kiedyś była, obok kościoła, najważniejszą budowlą na wyspie. Teraz mamy po drugiej stronie nową latarnię, która nie wymaga nadzoru. Wkrótce technika całkiem opanuje naszą małą wyspę.

— To samo mówi John Reynolds.

— Czy to ten młody naukowiec, który mieszka w chatce na plaży? Nie znam go, ale słyszałem o nim same dobre rzeczy. Jest podobno bardzo uczynny i nikomu się nie naprzykrza. To cecha, którą tutejsi ludzie bardzo cenią.

— Tak, zauważyłam — odparła w zamyśleniu.

Staruszek spojrzał na nią.

— Czy pani czuje się samotna, moje dziecko? — spytał łagodnie.

— Właściwie nie. Spokój i cisza dobrze mi robią. Po śmierci ojca potrzebowałam tego, by dojść do siebie. I pobyt tutaj bardzo mi pomógł.

— Młody monsieur Reynolds również?

— Trochę — odparła z wahaniem. — Ale on tak łatwo się denerwuje. Uważa mnie za bogatą rozpieszczoną dziewczynę, którą wcale nie jestem. Chciałabym, żeby wreszcie poznał mnie naprawdę.

— Kocha go pani? — uśmiechnął się ksiądz.

— Tak — wyznała.

Po raz pierwszy powiedziała głośno to, co czuła od tak dawna.

— W takim razie znajdzie pani jakiś sposób.

Chętnie zapytałaby go, co powinna zrobić. Ale jak miałby jej pomóc?

— Dziękuję, ojciec — powiedziała jeszcze raz, podając mu rękę.

— Z Bogiem, moje dziecko. I proszę niebawem znów do mnie zajrzeć.

— Przyjdę na pewno — obiecała. — Do widzenia.

Udała się w dalszą drogę. Od dawna nie czuła się tak radosna i wolna. Wreszcie była szczerą wobec samej siebie. Teraz miała nadzieję, że znajdzie się okazja, by John dowiedział się o jej uczuciu.

Bez trudu znalazła pole, o którym mówił ojciec Dominik.. Szła powoli, aż dotarła do kamienia, gdzie wyraźnie widać było odcisk ogromnej łapy z pazurami. Schyliła się, żeby dokładniej się przyjrzeć. Jakież to prehistoryczne zwierzę mogło zostawić taki ślad? — zastanawiała się, puszczając wodzy fantazji. Parę metrów dalej odkryła drugi odcisk, wyglądający — oczywiście tak, jakby pozostawiło go kolano człowieka. Nadine uklękła w tym miejscu. Wyżłobienie pasowało idealnie. O ile tu przyjemniej niż w Carnac, między ponurymi *menhire*, stwierdziła.

Po chwili ruszyła dalej. Stara morska latarnia wyglądała bardzo romantycznie, ale, niestety, była już bardzo zniszczona. Stała na skale wysuniętej w morze, z której roztaczał się widok na całą wyspę. Nadine podeszła bliżej. Ciekawe, co za ludzie mieszkali kiedyś w tej latarni? Czy nie dokuczała im samotność? Niektórzy lubią być sami, pomyślała. Na przykład ona, a także John.

Późnym popołudniem, gdy słońce rzucało na ziemię długie cienie, Nadine wracała do Kervarech. Rozglądała się za Johnem, ale nigdzie go nie zauważyła.

W domu, na kuchence, czekał obiad, przygotowany przez panią Carnous. Nadine nałożyła sobie sporą porcję i zniosła talerz do jadalni. Myślała o swojej rozmowie z ojcem Dominikiem. Najlepiej będzie poczekać, aż czas przyniesie jakieś rozwiązanie.

Dni mijały spokojnie i bez większych wydarzeń. Nadine dużo czytała i spacerowała po plaży. Kiedyś przyszło jej do głowy, by odwiedzić w Paryżu Stacy. Przy okazji mogłaby kupić sobie parę książek o historii Bretanii i żyjących tu zwierzętach. Chętnie też poszła by jeszcze raz do Luwru. Nie potrafiła jednak zdecydować się na wyjazd, póki nie wyjaśni się sprawa z Johnem.

Każdego ranka budziła się z nadzieją, że on wreszcie złoży jej wizytę. I każdego wieczora szła rozczarowana spać, bo wcale się nie pokazał. Czasem wydawało jej się, że widzi go na plaży. Mewy chyba złożyły jaja, pewnie więc spędzał całe dni na swoich obserwacjach.

Zerwano pierwsze karczochy. Polane gorącym masłem smakowały wspaniale, ale Nadine lubiła je również na zimno, z kwaśnym sosem. Bez względu na to, w jaki sposób pani Carnous je przyrządzała, były zawsze świetne.

Codziennie w ogródku dojrzewało coś nowego. Nadine nie mogła napatrzeć się na tę obfitość świeżych warzyw i owoców.

Pewnego dnia postanowiła, że wdrapie się na skały i obejrzy gniazda mew. Włożyła dżinsy, mocne półbuty i udała się w drogę. W cichości ducha miała oczywiście nadzieję, że spotka tam Johna. Z komina jego chaty nie

wydobywał się dym, było więc niemal pewne, że męczyzna pracuje gdzieś w okolicy.

W końcu Nadine dotarła do skał i zaczęła się na nie wspinać. Okazało się to niełatwe. Wciąż musiała wyszukiwać sobie nowej drogi, gdy natrafiła na gładką ścianę lub przerwy między skalnymi blokami stawały się zbyt szerokie.

Posuwała się naprzód bardzo powoli. Rozdarła spodnie i podrapała rękę, ale koniecznie chciała znaleźć się na górze.

W końcu się udało. Miała stąd widok na całą wyspę. Zaraz jednak poczuła zawód, bo Johna nigdzie nie było. To, co zobaczyła, zafascynowało ją jednak tak bardzo, że przestała o nim myśleć. Za barierą utworzoną przez skały znajdowały się niezliczone gniazda, a w każdym z nich siedziała na jajkach czujna samica. Ptaki wybrały najbardziej niedostępne miejsce na wyspie — z trzech stron otoczone skałami, a z czwartej przylegające do morza. Dopóki ludzie tu nie dotrą, mewy są całkiem bezpieczne, pomyślała Nadine.

Wiatr rozwiewał jej włosy, musiała je odgarniać z czoła. Jedna z mew zauważyła ten gest i krzyknęła przestraszona. Zawtórowały jej pozostałe i podnosząc się wszystkie razem, odfrunęły w stronę morza.

Patrzyła na nie przez chwilę. W locie, gdy słońce oświetlało ich białe pióra, wyglądały wdzięcznie i elegancko. W opuszczonych gniazdach widać było jajka. Żadne pisklą jeszcze się nie wykłuło.

Nadine postanowiła wracać. Ptaki przypuszczalnie

nie wróca, póki będzie tu stała. Nie miała zamiaru ich płoszyć i przeszkadzać w wysiadaniu jaj.

Chętnie porozmawiałyby z Johnem o tym, co widziały. Jeśli się wreszcie pojawi...

Zaczęła ostrożnie schodzić, stwierdzając, że droga powrotna jest jednak znacznie łatwiejsza. Wiatr przybrał na sile, a na morzu widać było coraz większe fale. Zbliżała się burza. Bretońskie wybrzeże najwyraźniej przyciągało złą pogodę. Czy mieszkańcy Isle de Bas mogą spać spokojnie w nocy, kiedy za oknem szaleje sztorm? — zastanawiała się Nadine.

Przechodząc obok chatki Johna, zobaczyła unoszący się dym. A więc jej lokator jest w domu. Przez parę sekund korciło ją, by po prostu zapukać, ale po namyśle zrezygnowała. Poczekaj, aż on zrobi pierwszy krok.

Szła powoli, w nadziei, że John ją zauważy i przyjdzie za nią. Ale nic takiego nie nastąpiło. Zrobiło jej się bardzo smutno i znów ogarnęły ją wątpliwości. Czy ona i John kiedykolwiek się odnajdą, jeśli żadne z nich nie będzie chciało zrobić pierwszego kroku?

## 10

Nadine poszła od razu do kuchni, by opowiedzieć pani Carnous o wycieczce.

— Pani przyjaciel John tu zaglądał — oznajmiła gospodyni, zanim jeszcze dziewczyna zdążyła się odezwać. — Wrócił właśnie z Roscoff, gdzie bawił parę dni i przyszedł nas ostrzec, że nadciąga burza.



— Pytał o mnie?

Z radości serce zabiło jej mocniej.

— No tak, z pewnością myślał o pani, dowiadując się, czy wszystko w porządku.

— Nie zapytał, gdzie jestem?

— Nie, mademoiselle.

Rozczarowana usiadła na najbliższym krześle i oparła podbródek na dłoniach. Gdyby wiedziała, że John dziś przyjdzie...

— Ja też miałam wrażenie, że znów zanosi się na burzę — powiedziała. — Ale myślę, że John jest w większym niebezpieczeństwie niż my. Kervarech przez całe wieki potrafiło oprzeć się burzom, czego nie można powiedzieć o jego chatce. Co robił tak długo w Roscoff?

— Nie wiem.

Madame Carnous spojrzała na nią badawczo.

— Czemu nie odwiedzi go pani i nie zapyta o to?

— Nie, nie mogę!

Nagle ogarnęła ją niepewność i zdenerwowanie.

Starsza pani znów zajęła się krojeniem cebuli. Chyba dobrze wie, jak chętnie posłuchałabym jej rady, pomyślała Nadine. Ale gospodyni o nic nie pytała. Dziewczyna poszła na górę do swego pokoju i położyła się na łóżku. Wiatr wiał coraz mocniej, obijając się ciężko o ściany.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Morze było wzburzone. Wysokie bałwany przetaczały się w kierunku plaży. Słońce dawno już skryło się za ciemnymi chmurami.

Kiedy zeszła na kolację, pani Carnous wkładała

właśnie płaszcz przeciwdeszczowy, naciągając głęboko kaptur.

— Poradzi pani sobie sama? — spytała z troską. — Czy też mam tu zostać?

— Nie, nie, nie trzeba — uspokoiła ją Nadine. — Dziękuję za tę propozycję, ale co powiedziałaby pani mąż, gdyby nie wróciła pani do domu? Na pewno byłby na mnie zły.

Starsza pani roześmiała się.

— Jean świetnie radzi sobie beze mnie. Póki ma co jeść, jest zadowolony. Więcej mu nie trzeba.

Obrzuciła dziewczynę wiele mówiącym spojrzeniem. Miało chyba oznaczać, że nie wszyscy mężczyźni są tak nieskomplikowani jak jej Jean. Nadine doskonale o tym wiedziała. Uśmiechnęła się do pani Carnous.

— Proszę się o mnie nie martwić, madame. Dobranoc.

— Dobrej nocy, mademoiselle.

Nadine nie była jeszcze głodna. Zrobiła więc sobie herbatę i z filiżanką w ręce wyszła na próg, by obserwować zbliżającą się burzę. Wiatr był już tak silny, że musiała oprzeć się plecami o drzwi w obawie, że straci równowagę. Zrobiło się bardzo zimno. Fale z pluskiem uderzały o brzeg, a chmury stały się całkiem czarne. Spadły pierwsze krople deszczu.

Próbowała wyobrazić sobie, jak jest w chacie Johna, kiedy na zewnątrz ulewa chłostcze ściany. On pewnie wcale się nie boi. Może zresztą ta burza nie będzie gorsza niż inne, które przeżył dotąd.

Dlaczego właściwie John przyszedł dziś do Ker-

varech? Wiedziała, że bardzo lubił panią Carnous i często przesiadywał u niej w kuchni. Pewnie słyszał, że zbliża się szczególnie groźny sztorm i jako dobry sąsiad chciał ją ostrzec.

A może przyszedł do mnie?' — pomyślała z nadzieją. — Może chciał mi powiedzieć, że zapomniał już o naszej kłótni? Jeśli to właśnie było powodem jego wizyty, zjawi się jeszcze raz, pocieszała się. Trzeba po prostu poczekać.

Wróciła do domu i wypila herbatę w saloniku. W kominku palił się ogień. Postanowiła, że tutaj zje kolację.

Wcześniej zrobiło się ciemno i zanim jeszcze Nadine skończyła jeść, burza wybuchła z całą siłą. Wiatr szarpał drzwiami i okiennicami, jak gdyby za wszelką cenę chciał dostać się do środka. Ale dziewczyna nie czuła strachu. W Kervarech była bezpieczna. Patrzyła, jak wiatr w kominie wzbija w górę iskierki ognia.

Tego wieczoru wcześniej poszła do łóżka. Długo leżała jednak, nie śpiąc i nasłuchując. Myślała o ludziach, którzy żyli na Isle de Bas. Umieli radzić sobie podczas burzy. Ona, Nadine, też musi się tego nauczyć.

Być może *menhire* w Carnac ustawiono właśnie po to, by ubłagać boga wiatrów? Dziś jeszcze przecież przed obrazami świętych stawia się kwiaty. Najlepiej jednak obserwować uważnie naturę. Jeśli zwraca się uwagę na oznaki nadciągającej burzy i umie się je odczytać, można w porę podjąć środki ostrożności.

Rozmyślając tak, słuchała buczenia tyfonu, jakie dobiegało z latarni morskiej. Wciąż rozlegał się ten głuchy dźwięk, a deszcz uderzający o szyby i wycie

wiatru nie pozwalały spać. Nadine naciągnęła kołdrę na głowę, by móc wreszcie zasnąć.

Następnego dnia obudziła się bardzo wczesnie. Od plaży dochodził gwar wielu głosów. Usiadła i zobaczyła, że burza już minęła, a cienki promień słońca torował sobie nieśmiało drogę przez chmury. Tych głosów nigdy jeszcze nie słyszała. O tak wczesnej porze na plaży nie bywał nikt prócz niej i Johna. Czy coś się stało?

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Niedaleko domu stało kilku mężczyzn, rozmawiali o czymś głośno i z wyraźnym zdenerwowaniem. Cachwila ktoś wskazywał ręką na morze. Kiedy zobaczyła, o co chodzi, ogarnęło ją przerażenie. Za rafą otaczającą wyspę znajdował się uszkodzony tankowiec. Do połowy zanurzony był w wodzie i zagłębiał się w niej coraz niżej. Na falach tańczyły maleńkie łodzie ratunkowe. Nadine miała nadzieję, że wszystkim marynarzom udało się do nich przedostać.

Ubrała się ciepło i mimo że już nie padało, narzuciła na siebie płaszcz od deszczu. Fale były bardzo wysokie, nie chciała, by przyskakująca piana ją zmoczyła.

Prędko pokonała schody i tylnymi drzwiami wybiegła na zewnątrz. Mężczyźni właśnie się rozchodzili.

— Proszę zaczekać! — zawołała. — Co tu się stało?

Jeden z rybaków odwrócił się.

— Katastrofa, mademoiselle. W czasie burzy tankowiec rozbił się o rafę i... no, widzi pani sama, nie ma już czego ratować

— To okropne. Czy są ranni?

— Chyba nie, ale i tak katastrofa jest ogromna. To

był zbiornikowiec z ropą. Podczas następnego przy-  
pływu cała ropa znajdzie się na plaży.

— Co? Ależ to przerażające! Czy nie można temu  
jakoś zapobiec?

Nadine ze zdenerwowania trzęsła się jak w febrze.

— Zapobiec, mademoiselle? Nie ma sposobu. Ryby  
tego nie przeżyją, a wodorosty też zginą.

— Ależ to niemożliwe! Trzeba coś przedsięwziąć.  
Nie możemy czekać spokojnie, aż ropa zniszczy wyspę.

Rybak spojrział na nią zmęczonym wzrokiem.

—r Ech, młodość — mruknął. — Zawsze pełna  
 optymizmu. A co by pani zaproponowała?

— Nie wiem — odparła z nieszczęśliwą miną.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

— Znam kogoś, kto być może potrafi nam pomóc.  
John Reynolds. Jest biologiem i będzie wiedział, co  
trzeba zrobić.

— Myśli pani o tym młodym Amerykaninie, który  
mieszka na plaży?

— Tak. Na pewno znajdzie jakąś radę.

— W takim razie proszę pójść do niego. Ale nie  
sądzę, by mógł pomóc.

Odwrocił się i odszedł ze spuszczoną głową.

— Nie wolno tracić nadziei, monsieur! — krzyknęła  
za nim.

Mężczyźni zbierali się do odejścia. Szli powoli,  
powłócząc nogami. Nie wiedzieli, co robić. Ropa  
z tankowca zmieni ich wyspę w czarną brudną pus-  
tynię, pokrytą martwymi rybami i ptakami, które nie  
przeżyją katastrofy.

Nadine zaczęła biec. Prawie bez tchu dotarła do chatki Johna.

— John! — krzyczała, waląc pięściami w drzwi. — Otwórz, John!

Parę minut trwało, zanim pojawił się na progu. Był zaspany i miał potargane włosy. Przetarł oczy.

— Nadine? Czy coś się stało?

— Mnie nie, ale spójrz tylko.

W zdenerwowaniu nie zwróciła uwagi, że mówi mu „ty”. Wskazała ręką na morze. Łodzie ratownicze płynęły już w stronę wyspy. Wyglądały jak małe kraby, które rozpaczliwie próbują uciec przed ogromnym drapieżnikiem.

To niebezpieczne, pomyślała. Jeśli tankowiec nagle zatonie, fala porwie je i pociągnie na dno.

— Wrak okrętu — stwierdził z niedowierzaniem John. — Czy... nie, to niemożliwe!

— A jednak — powiedziała cicho. — To zbiornikowiec z ropą.

— O, Boże. Wiesz, ile ropy się wylało?

— Chyba cała.

— No to możemy mieć jedynie nadzieję, że jej część już wcześniej wyładowano i baki nie były pełne. W przeciwnym razie wyspa jest stracona. Całe wybrzeże również.

Szybko się ubrał. Nadine nie zauważyła wcale, że przez cały czas stał przed nią półnagi.

— John, co możemy zrobić, żeby ropa nie dostała się na plażę?

— Nic, absolutnie nic. Myślę, że ktoś powiadomił

już władze. Przyślą tu statki z trocinami, by wchłoneły ropę, zanim przedostanie się na brzeg. Czy w Kervarech jest telefon?

— Nie.

— W takim razie biegnę do wsi i zadzwonię stamtąd do mojego biura. Musimy być pewni, że odpowiednie placówki zostały poinformowane. Dziękuję, Nadine — dodał.

— John, chciałabym jakoś pomóc.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

— Dobrze. Możesz zaparzyć mocnej herbaty i podać ją marynarzom. Z pewnością są w nie najlepszej kondycji. Potem przynieś środki czyszczące, wszystkie jakie tylko znajdziesz. Będziemy ich pilnie potrzebowali, jeśli chcemy uratować chociaż kilka ptaków. Większość i tak zginie okrutną śmiercią. Bądź na to przygotowana.

. — Herbata i środki czyszczące — powtórzyła. — Dobrze. Może tankowiec nie był pełen, John. Może nam się uda.

Ale kiedy spojrzała na ocean, stwierdziła, że wygląda to bardzo niedobrze.

Pobiegła pędem do domu i nastawiła wodę w największym garnku, jaki był w kuchni. Kiedy szukała filiżanek, weszła pani Carnous. Po raz pierwszy nie uśmiechnęła się na przywitanie. Nadine objęła ją.

— Nie wolno tracić nadziei. Może nie jest tak źle, jak myślimy. Proszę pomoc mi przygotować herbatę dla marynarzy. Potrzebne mi też będą proszki do prania i czyszczenia.

— Stoją na półce. Zawsze kupuję na zapas, żeby tak często nie jeździć do Roscoff.

— Bardzo dobrze — stwierdziła Nadine, zaglądając do szafki.

Podbiegła do drzwi i wyrzała na zewnątrz. Pierwsze łodzie ratunkowe właśnie dopłynęły.

— Halo! — krzyknęła ze wszystkich sił. — Proszę tutaj!

Mężczyźni wyciągnęli łodzie na brzeg i posłuchali wezwania. Wyczerpani usiedli na rozstawionych przez panią Carnous krzesłach.

— Czy jest ktoś ranny? — spytała najpierw Nadine.

— Nie, mademoiselle — odparł młody marynarz. — To stało się tak nagle. Raptem dał się słyszeć okropny łomot i statek zaczął opadać na dno.

— Ta rafa jest bardzo niebezpieczna.

— Musiały chyba zepsuć się nasze urządzenia radarowe.

— Czy w bakach było dużo ropy?

Nadine starała się zachować spokój. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

— Dostarczyliśmy właśnie ładunek do Londynu. Sądzę, że baki mogły być wypełnione do jednej czwartej poziomu.

— Wobec tego może nie będzie tak strasznie — odparła, chcąc dodać sobie odwagi.

— Jest już wystarczająco źle. Miejmy nadzieję, że ładna pogoda utrzyma się przez parę dni. Gdyby teraz przyszła burza, ropa rozlałaby się wzdłuż całego wybrzeża, stąd aż do Saint Mało. To byłaby katastrofa.



— Madame Carnous — Nadine zwróciła się do gospodyni. — Proszę zatroszczyć się o panów, a ja w tym czasie przygotuję wodę i proszek do prania. Gdzie można rozpalić ognisko?

— Obok wydmy jest wgłębienie, w którym kiedyś palono wodorosty. Drzewo leży za domem.

W ciągu następnej godziny Nadine rozpałała ogień, zagrzała wodę i rozpuściła w niej proszek. Wkrótce z wioski nadeszła pomoc. Wielu mieszkańców zgromadziło się na plaży, patrząc na tonący tankowiec. Inni przyłączyli się do Nadine i niebawem wzdłuż całej plaży zapłonęły ogniska, na których, grzano wodę. Mężczyźni nosili siano i trociny, w nadziei, że wsiąknie w nie część ropy i zostanie w ten sposób unieszkodliwiona, zanim dosięgnie brzegu. Kilku z nich wypłynęło łodziami w morze, wyrzucając ładunek do wody.

Ale to okazało się za mało. Z następnym przyływem pierwsze kałuże ropy dotarły do plaży. Wraz z nimi płynęły martwe ryby. Ich zwrócone do góry brzuchy były umazane na czarno. Warstwa brudnej mazi zdawała się tamować ruch wody, fale wyglądały jak na zwolnionym filmie.

Nadine nie wiedziała, ile godzin już minęło. Podtrzymywała ogień i wsypywała proszek do wody. Ludzie brali przygotowany roztwór i szli ratować ptaki. Te zaś poruszały się bezradnie na wodzie, trzepocząc z wysiłkiem posklejkanymi od ropy skrzydłami.

John dał jej wskazówki, jak próbować oczyścić ptaki i pomógł zbudować prowizoryczne klatki. Wkładano

do nich umyte mewy, aby nie wracały do pokrytego tłustą mazią morza. Również ojciec Dominik tu był. Niezmordowanie nosił wiadra z wodą i filiżanki pełne gorącej herbaty. Dla każdego miał słowa otuchy i mobilizował mieszkańców do jeszcze większego wysiłku. Pracowali tak przez cały dzień.

Słońce chyliło się już ku zachodowi i wiele osób poszło do domu, by coś zjeść. Wtem Nadine przypomniała sobie o mewich gniazdach. Czy tam ropa też dotarła? Nie wiadomo, czy ptaki były jeszcze w stanie troszczyć się o złożone jaja. Rozejrzała się za Johnem, ale nigdzie go nie dostrzegła. Napełniła więc kanister ciepłym roztworem mydła i ruszyła w drogę. Niosąc z wysiłkiem ciężki pojemnik, zastanawiała się, jak wdrapie się z nim na skały.

Przez pierwsze metry szło jej całkiem dobrze. Podnosiła kanister, stawiała go wyżej, a potem wspinała się sama. Posuwała się naprzód bardzo powoli, ale była pewna, że da radę. Kiedy jednak dotarła do szerokiej szczeliny "między skałami, przez którą poprzednim razem przeskoczyła, nagle opuściła ją odwaga. Z tego miejsca było już widać gniazda.

Gdy tak stała, zastanawiając się, jak pokonać przeszkodę, zauważyła umazaną ropą mewę, która pełzała po piasku. Skrzydła wlokła za sobą i rozpaczliwie usiłowała dotrzeć do swego gniazda. Nadine zebrała wszystkie siły, przycisnęła kanister do piersi i skoczyła. Udało się! Pozostała część drogi okazała się łatwiejsza i parę minut później dziewczyna znalazła się na miejscu.

Zeszła kawałek na dół i zobaczyła Johna. Trzymał

na kolanach mewę i zdawało się, że z nią rozmawia. Nadine wstrzymała oddech. Czy to, co błyszczało w jego oczach, to były łzy?

— John! — krzyknęła, machając mu ręką.

— Nadine?

Patrzył, jakby nie wierząc, że to naprawdę ona.

— Jak tu dotarłaś?

— Przez skały, tak samo jak ty. Byłam tu już kiedyś. Jak wygląda sytuacja?

Z łękiem czekała na odpowiedź.

— Kilku ptakom udało się wrócić do gniazd. Ale są całkiem wyczerpane, nie wiem, jak zdobędą pożywienie.

Potrafiła wyobrazić sobie, jak okropnie musi się czuć. Tyle miesięcy spędził tu z mewami i bardzo się do nich przywiązał.

Westchnął ciężko i w tej samej chwili spostrzegł w jej ręce kanister. Zerwał się na równe nogi.

— Czy w środku jest ciepła woda z mydłem?

— Tak, po to tu właśnie przyszłam.

Twarz Johna rozjaśniła się.

— Uratujemy je — zawołał. — Chodź, Nadine. Bierzmy się do pracy.

Nalał odrobinę cieczy do wyłobienia w kamieniu, na tyle dużego, że mógł się w nim zmieścić ptak. Nie mieli trudności ze złapaniem mew — były zbyt zmęczone, by się bronić. John trzymał je mocno, a Nadine starała się zmyć z ich piór jak najwięcej brudnej mazi.

— Trochę potrwa, zanim znów będą mogły latać — powiedział. — Ale teraz mogą przynajmniej poszukać sobie jedzenia.

— Miejmy nadzieję. Jeśli uda nam się je uratować, to pisklęta wyklują się bez przeszkód?

Przytaknął, nie spuszczać z niej wzroku.

— Posłuchaj, Nadine. Zostanę tu na noc, żeby pilnować mew. Inaczej wrócą znów do wody. Ty idź do domu, jesteś na pewno potwornie zmęczona i głodna.

— Nie bardziej niż ty — odparła. — Zostanę i pomogę ci.

— No dobrze, skoro tak chcesz.

Wmawiała sobie, że w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju radości. Johnowi potrzebna jest pomoc, a ona chce być razem z nim. Wszystko stało się nagle proste.

— Zbierz jaja z opuszczonych gniazd — powiedział. — Zagrzebiemy je w piasku, jest chyba dość ciepły. Jutro spróbujemy zanieść je do mojej chaty.

— Żeby tam wykluły się pisklęta?

— Tak, to jedyna szansa.

Rozeszli się w różnych kierunkach. John wykopał rów w ciepłym jeszcze piasku i włożył tam jajka. Przykryli dziurę i zmęczeni usiedli, opierając się o skałę.

— Jestem głodna — przyznała się Nadine.

Pogrzebała w kieszeniach.

— John! Zobacz, co znalazłam.

Wyciągnęła tabliczkę czekolady i dwa kawałki chleba, które miała przygotowane dla ptaków. Podała Johnowi jeden z nich i przełamała na pół czekoladę. Chleb był już twardy, ale zjedli go z wielkim apetytem.

Zrobiło się zupełnie ciemno, a nie mieli przy sobie zapalek, by rozpaścić ogień.

- Naprawdę chcesz zostać ze mną? — spytał John.
- Będzie ci zimno.
- Mam grubą sweter, nie zmarznę.
- Czy to nie straszne — powiedział z goryczą. — Żądza pieniędzy doprowadziła do tej katastrofy. Mieszkańcy wyspy długo będą ją pamiętać.
- John, wyspa nie jest stracona — powiedziała Nadine. — Wspaniale było patrzeć, jak wszyscy razem starają się ją uratować. Nikt nie szczędził wysiłku. A więc musisz dostrzec również dobre strony.
- To niełatwe — mruknął.
- Przysunęła się bliżej i dotknęła jego ramienia.
- Wiem, co czujesz. To wszystko jest okropne. Ale ludzie przynajmniej starali się poradzić sobie z nie-szczęściem.
- John wziął jej rękę i mocno uściśnął.
- Byłaś wspaniała, Nadine — powiedział łagodnie.
- Ogromnie mi pomogłaś. Dziękuję.
- Nie masz za co dziękować. Próbowałam pomóc, bo mi na tym zależało. Kocham tę wyspę tak samo jak ty, John. Tyle razy chciałam ci o tym powiedzieć, ale wciąż wybuchały między nami sprzeczki. A przecież wcale się tak bardzo nie różnimy, czyż nie?
- Pocałował delikatnie końce jej palców.
- Bardzo się różnimy, Nadine. I tak jest dobrze — uśmiechnął się.
- W tym samym momencie przyciągnął ją do siebie i zaczął całować, z początku czule, potem coraz bardziej namiętnie. Tym razem nie chciała się bronić. Poddała się jego uściskom i nie zaskoczyło jej już, że z takim uczuciem odwzajemnia jego pocałunki.

Wreszcie puścił ją i mimo że w ciemności nie było widać wyraźnie jego twarzy, wiedziała, że się uśmiecha. Dotknął swymi brudnymi od ropy dłońmi jej twarzy i zaczął ją delikatnie gładzić.

— Kocham cię, Nadine. Przez te wszystkie tygodnie próbowałem ukryć to przed samym sobą, bo uważałem, że pochodzisz z zupełnie innego świata niż ja. Ale miłość jest silniejsza. Potrzebuję cię, Nadine.

Znów ją pocałował, trzymając mocno w ramionach. Była szczęśliwa i czuła się cudownie bezpieczna.

— Och, John — szepnęła. — Ja też cię kocham. Wciąż o tobie myślałam.

Spędzili noc, siedząc przytuleni do siebie. Nie czuli ani zimna ani wilgotnego wiatru wiejącego od morza. Los w końcu ich do siebie zbliżył i teraz już nic nie mogło ich rozdzielić.

KONIEC